Nr 45 (1555). Warszawa, 5 listopada 1910 r. **Rok XXX**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 8. Telefon 78-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Czas nagli

W chwili obecnej toczy się walka zajadła dokoła Jasnej Góry — nie między szatanem i aniołem, jak chcą świstki klerykalne, kolportowane po ulicach — ale między duchowieństwem świeckim a zakonnym. Jeszcze przed katastrofą stosunki obu dekasterji — o. Rejmana i biskupa Zdzitowieckiego — nie należały do najlepszych.

Spór zaognił się z powodu kościoła św. Barbary, do którego każde z wymienionych „*wiedomstw*" rościło sobie pretensje dla względów, oczywiście, natury materjalnej.

Teraz wybuchnął zatarg z niezwykłą siłą i pomimo dyskrecji, jaką prasa pobożna otacza tę monachomachję, opinja przekonała się dowodnie, jaki jest poziom moralny, jaki jest stan duszy tych pasterzy, którzy w obliczu tak strasznej klęski, jaka w nich uderza, dyskontują chyłkiem wyniki własnej kompromitacji, aby prywatne swoje załatwić porachunki.

Nieszczery patos oficjalnej skruchy i obłudnych samobiczowań w zestawieniu z tą akcją misternych zabiegów, intryżek i knowań nabiera znamiennych kalchasowych tonów, na których naród polski szczęściem już się poznawać zaczyna,

I bez względu na to, jaki będzie wynik zatargu Włocławka z Częstochową, bez względu na to, czy Jasna Góra ze swym złotodajnym „kotłem" (tak zwano kasę ofiar w żargonie Paulinów) przejdzie w ręce świeckiego duchowieństwa, czy też w zakonnych rękach pozostanie — możemy stwierdzić, że autorytet Kościoła i kleru nic na tym nie zyska.

Cóż bo może biskup Zdzitowiecki przeciwstawić białym habitom Macochów i Starczewskich? Czarne sutanny Kominków, Murnarowskich, Kłopotowskich, Łubieńskich, Szczotkowskich? A może własne fałszywe denuncjacje? Wolne żarty! Objektyw prasy polskiej uchwycił i utrwalił w ostatnich czasach tak wymowne gesty i pozy naszych księży — litanję nazwisk możnaby tu przedłużyć w nieskończoność — że niepodobna żywić żadnych złudzeń co do moralnej wartości całego tego zespołu.

Nie znaczy to bynajmniej, byśmy utrzymywali, że każdy ksiądz jest niegodziwcem: dalecy jesteśmy od takich uogólnień. Pośród zwartego zespołu księży, dających się dotkliwie we znaki narodowi i odgrodzonych odeń rygorem rzymskiego interesu — zabłyśnie czasem nazwisko księdza — Polaka, księdza — obywatela. księdza — moralisty. Ale są to wyjątki, potwierdzające regułę, która stwierdza niezbicie demoralizujący i wsteczny wpływ rzymskiej kasty duchownej.

Pojedyńcze dodatnie cechy indywidualne giną zupełnie bez śladu w zwartej masie cech zbiorowych, wysoce ujemnych, których nie wahamy się określić słowem: *macochizm*.

Wspomniane wyjątki odbijają rażąco od ogólnego tła i dając możność pochlebnych dla siebie porównań, budzą zrozumiałą niechęć i nieufność we właściwych sferach klerykalnych, jako żywioł niepewny, wyłamujący się z karbów solidarności zawodowej.

A zawodowa solidarność naszych księży wymaga od wszystkich członków tego bractwa bezwzględnej dyskrecji, związanej z obowiązkiem wzajemnej obrony *per fas et nefas*, skoro skandalu utaić nie można.

To też bynajmniej nas nie dziwi, że klerykalny *Dziennik Powszechny* napadł z furją niebywałą na pewnego księdza, który w piśmie świeckim wytknął szpetne przywary ogółu swoich kompanów i, co gorsza, radził społeczeństwu zająć się czynną sanacją tego grzęzawiska. Wzbudziło to niemały popłoch w kołach

klerykalnych, popłoch, zupełnie podobny do tego, jaki owładnął intendenturą warszawską na wieść o rewizji senatorskiej.

„Naszym zdaniem — sądzi miarodajny organ ks. Skimborowicza—lekarstwo, zalecane przez owego księdza, gromiącego swój stan na szpaltach codziennego warszawskiego pisma, gorsze jest od samej choroby". Oczywiście! Przedstawiciele kasty, która tą „chorobą" tyje, bogaci się, opływa w dostatki i wszechwładzę, zgodzą się niechybnie na „lekarstwo"—jak najmniej skuteczne...

* * *

Zresztą, bynajmniej nie było potrzeby czekać na zdanie *Dziennika Powszechnego*, aby upewnić się, że kler ani skruchy istotnej nie okaże, ani gotowości do poprawy. Nawoływania kilku szlachetniejszych, lepszych kapłanów przebrzmią bez echa. Kler katolicki jest kastą, nazbyt zepsutą wiekowym władztwem i bezmiernymi przywilejami — aby dobrowolnie miała się zrzekać najcenniejszych swych prerogatyw samowoli i nieodpowiedzialności i ustanawiać nowy, powściągliwy, skromny, potulny tryb życia. Odraza, gniew i popłoch, wywołane w sferach klerykalnych dźwiękiem jednego słowa: „kontrola" — suggestyjnie skłaniają do przypuszczeń: ileż to tajemnic jasnogórskich na małą skalę kryć się musi po naszych zakrystjach!

Nie, stanowczo! Kler katolicki nie jest organizmem, zdolnym do *autosanacji*. Zło, wiekami całemi nawarstwiane, stało się już kamiennym kanonem, sklepieniem całego gmachu, składową jego częścią... Toć stary Kochanowski smagał satyrą obyczaje księży, to samo Frycz Modrzewski, to samo Wacław Potocki... Było to w wieku XVII-ym; ileż od tego czasu zmieniło się na gorsze? Oto Watykan rzuca ukaz za ukazem, coraz bezwzględniej, coraz brutalniej przeciwstawiając interes kleru naszym dążeniom kulturalnym, naszym narodowym ideałom... Oto wygnano książki i pisma polskie z klasztorów i seminarjów, nawet świeckie pisma katolickie skazano na banicję—i, jak się teraz okazuje, jedynie Zakon Jezuitów posiada rodzaj monopolu w tej dziedzinie, jedynie on ma prawo dostarczać alumnom i klerykom strawę umysłową na jezuickiej kuchni zgotowaną pod wezwaniem św. Ignacego Lojoli, dla którego „cel uświęca środki".

Ładnych rzeczy spodziewać się można po takich wychowawcach i takich wychowańcach! Najniemoralniejsze ze wszystkich zrzeszeń ludzkich, kolejno zewsząd wypędzane—podejmuje się oto kształcić, urabiać na swoją modłę dusze tych, co z kolei tradycyjnie „urabiać" mają dusze całego narodu... Opinja polska uznała zakon OO. Paulinów za niegodny strzeżenia Jasnej Góry; zepsuciu tych zakonników usiłowano przeciwstawić problematyczne cnoty świeckiego duchowieństwa.

Lecz projektowana kontrola kleru świeckiego nad sprawami jasnogórskimi nie będzie *nawet lokalnym* środkiem sanacji, ponieważ czarne sutanny nie budzą bynajmniej większego niż białe habity zaufania... Przytem rygor rzymski oddaje wszystek kler pod władzę Czarnego Papieża t. j. generała OO. Jezuitów... Kładziemy stosowny nacisk na tę okoliczność, która nieuleczalnych nawet optymistów w dziedzinie stosunku Kościoła do Narodu skłonić musi do poważnych refleksji..

Czas nagli.

Żydzi, a rozwój ekonomiczny.

Kilka miesięcy temu prof. Werner Sombart miał w Berlinie szereg odczytów o roli ekonomicznej żydów w różnych krajach. W konkluzji dochodzi do dwuch wniosków, a mianowicie, że 1-o) kraje i miasta, które wypędziły żydów, szybko upadały ekonomicznie, natomiast kraje i miasta, które przygarniały żydów; szybko podnosiły się, oraz 2-o) że żydzi w handel cechowy, uregulowany przez państwo, wnieśli zasadę wolnej konkurencji.

Pierwszy swój wniosek Sombart opiera na następujących faktach. Początek upadku półwyspu iberyjskiego datuje się od wygnania żydów z Hiszpanji (1492) i z Portugalji (1497). W XV-ym wieku, żydzi są wypędzeni z głównych miast niemieckich: z Augsburga (1440), ze Strasburga (1438), z Erfurtu (1458), z Norymbergji (1498), z Ulmu (1499) i z Ratyzbony (1569). I wszystkie te miasta, które dotąd zajmowały wybitne miejsce w handlu międzynarodowym, tracą swoje znaczenie. W XVI-ym wieku żydzi włoscy zostają wypędzeni z Sycylji (1492), z Neapolu (1519), z Genui (1550), z Wenecji (1550) i niezwłocznie potym rozpoczyna się upadek ekonomiczny tych miast.

I odwrotnie życie ekonomiczne rozwija się w tych miastach i krajach, gdzie osiedlają się żydzi, wygnani z Hiszpanji i z innych krajów. A więc Frankfurt nad Menem i Hamburg w Niemczech, Marsylja, Bordeaux i Rouen we Francji wznoszą się dzięki temu, że gościnnie przyjęły żydów w XVII-ym wieku. Wzrost ekonomiczny Holandji w XVI-ym wieku również należy przypisać gościnnemu przyjęciu żydów. Żydzi są dzielnymi współpracownikami państw europejskich w polityce kolonjalnej: we wszystkich przedsiębiorstwach holenderskich w Indjach, rządowych i prywatnych, żydzi biorą czynny udział. W Ameryce południowej i północnej przyczyniają się do wzrostu współczesnego kapitalizmu.

Fakty, które przytacza prof. Sombart na poparcie swojej tezy, są niewątpliwe; mimo to, teza sama wydaje się nam niedowiedzioną.

P. Alfred Valensi, w artykule zatytułowanym „Le Sionisme" i umieszczonym w sierpniowym zeszycie znanego miesięcznika *Les Documents du Progrès* oblicza ogólną ilość żydów na całym świecie na dziesięć miljonów. Z nich zaledwie pół miljona mieszka w rozproszeniu w państwach Europy Zachodniej (z Niemcami i Austrją — bez Galicji — włącznie); koło półtora miljona mieszka w innych częściach świata. Pozostałe cztery piąte, t. j. 8 miljonów mieszka w Rosji, Galicji i Rumunji.

Skądinąd wiemy, że ludność żydowska Rumunji nie przenosi trzystu tysięcy. Bez mała więc całe 8 miljonów przypada na Rosji i na Galicję.

Jednak cóż to za Rosja? Wiadomo, że w carstwie moskiewskim pobyt żydom był zabroniony. Iwan Groźny na pytanie, co robić z żydami, wziętymi do niewoli przy zdobyciu Połocka, odpowiada: „tych, którzy się zechcą ochrzcić, — ochrzcić, a resztę potopić". Cesarzowa Elżbieta Piotrówna, ukazem z 2 grudnia 1742 r., wzbrania wszystkim bez wyjątku żydom pobytu choćby tymczasowego, w granicach państwa rosyjskiego, a obecnie wprowadzono strefę osiedlenia żydów, której granica odpowiada mniej więcej granicy... dawnego państwa polskiego.

Całe te 8 miljonów żydów (całe, powiadam, gdyż, choć należy odliczyć od tej cyfry żydów rumuńskich,

lecz trzeba zato do niej dodać żydów z Poznańskiego i Prus Zachodnich) są to więc żydzi polscy, potomkowie mieszkańców państwa Polsko Litewskiego, jedynego na świecie państwa, które ciągle żydów przyjmowało, a nigdy ich nie wypędzało.

W faktach, cytowanych przez Sombarta, ani jeden nie jest zaczerpnięty z historji żydów polskich. Te cztery piąte żydów całego świata nie istnieją dla profesora wszechnicy wrocławskiej. Jasną jest tedy rzeczą, że chociaż wszystkie fakty, jakie przytacza Sombart, są prawdziwe, lecz, ponieważ są zaczerpnięte z historji tylko piątej części żydów, więc wniosek, na nich oparty żadną miarą do ogółu żydów zastosować się nie da.

Teorja rozkwitu ekonomicznego krajów przygarniających żydów byłaby usprawiedliwiona jedynie wówczas, gdyby kraj, który przygarnął ogromną większość żydów, t. j. Polska, był osiągnął wysoki stopień rozwoju ekonomicznego. Ponieważ Polska nigdy, nawet w swoich najświetniejszych politycznie czasach, nie odgrywała wybitnej roli ekonomicznej, więc wniosek Sombarta upada.

Pozostaje faktem, że zarówno Hiszpanja, która najbezwzględniej wypędziła żydów, jak i Polska, która ich najbezwzględniej przyjęła — obydwie upadły ekonomicznie. A więc ogólnych przyczyn rozwoju lub zaniku ekonomicznego krajów i miast należy szukać gdzieindziej, pomijając żydów, którzy decydującego wpływu na nie nie wywierają.

Post hoc to jeszcze nie propter hoc. Hiszpanja upadła ekonomicznie *po* wypędzeniu żydów, ale z tego bynajmniej nie wynika, że upadła z *powodu* wypędzenia żydów. Przeciwnie. Na zasadzie przykłada Polski, możemy wnioskować, iż byłaby upadła tak samo, gdyby ich nie była wypędzała.

Przykłady, jakie daje Sombart, wyliczając poszczególne miasta niemieckie, włoskie i francuskie, na pierwszy rzut oka stwierdzają jego teorję w zupełności. Istotnie. Jeżeli wypędzono żydów z Erfurtu, a przyjęto ich w Frankfurcie, to wskutek tego Erfurt mógł upaść, a Frankfurt się podnieść. Prawdopodobnie tak było.

Ale zwróćmy uwagę, że fakty przyjmowania i wypędzania żydów z poszczególnych miast europejskich datują się z XV-go i XVI-go wieku. Otóż w Anglji, Francji, Niemczech i Włoszech nigdy nie było masowego wygnania żydów, ale całe średnie wieki, aż po wiek XVI-ty, są właściwie w krajach tych jednym wielkim pogromem, w połączeniu z częściowymi banicjami. Wyprawy krzyżowe, zaczynając od pierwszej z r. 1096-go, uważają sobie za obowiązek, przed pójściem do ziemi świętej, powyrzynać wszystkich żydów, którzy nie chcą przyjąć chrztu.

I co jest charakterystyczne, że nie te wyprawy krzyżowe rżnęły żydów, które szły, jako regularne wojsko pod wodzą królów lub książąt feudalnych, lecz te, które organizowały się samorzutnie wśród mas ludowych i były kierowane przeważnie przez księży. Dżuma, cholera, wojna nieszczęśliwa, każdy znaczniejszy wypadek jest pretekstem do wypędzania lub wyrzynania żydów. W tych warunkach ostają się tylko bardzo nieliczni, a więc najbogatsi, którzy mogą suto opłacać się na wszystkie strony, najzręczniejsi, czy najzdolniejsi, którzy za oddane usługi jakim potentatom uzyskują ich opiekę. Słowem pozostaje tylko jakaś cząstka, specjalnie przystosowana do strasznych warunków życiowych i umiejąca w nich istnieć. Reszta, masa, niezdolna do takiego przystosowania, emigruje do Polski, gdzie żyje sobie spokojnie. A więc żydzi, którzy w XV-ym lub XVI-ym wieku emigrują z Erfurtu do Frankfurtu, lub z Genui do Marsylji, wchodzą w skład tej cząstki, specjalnie przystosowanej do życia w Zachodniej i Środkowej Europie, cząstki, która ocalała i nie wyemigrowała po kilkowiekowym pogromie, jakim było całe średniowiecze. Oczywista rzecz, że przemieszczenie tego rodzaju materjału ludzkiego, tej sui generis elity, jaka się ostała po strasznie trudnym doborze, musiało wywoływać skutki bardzo silne, rzucające się w oczy. Lecz, czyż to dowodzi, że wogóle kraje i miasta, które przyjęły żydów, wskutek tego podniosły się ekonomicznie? Bynajmniej. Dowodzi to jedynie, że żydzi wydali nieliczną elitę, która zdolna była ostać się w strasznie trudnych warunkach walki o byt. Ta elita, pozostając na Zachodzie i w Niemczech, oddzieliła się zupełnie od masy, która poszła do Polski, znajdując tam lepsze warunki, nie ekonomiczne, lecz polityczne.

Żydzi, którzy kolonizują z Holendrami Indje lub którzy wprowadzają kapitalizm w Ameryce, tym bardziej pochodzą w znacznej większości z Europy zachodniej i z Niemiec, słowem z tej tragicznie przystosowanej do życia europejskiego cząstki.

Wobec tego drugi wniosek, do jakiego dochodzi prof. Sombart, że żydzi wnieśli w ustrój cechowy, uregulowany przez państwo, zasadę wolnej konkurencji — wydaje się całkiem prawdziwy. Istotnie, mogli ją wnieść żydzi, lecz znów nie wszyscy, bo w Polsce cechy przetrwały najdłużej i do dziś dnia nawet istnieją na ziemiach polskich. Znów jest to dziełem tej zeuropeizowanej cząstki żydów.

Mamy więc z jednej strony, kraje, które bezwzględnie wypędziły żydów i upadły ekonomicznie (Hiszpanja, Portugalja, Rosja), z drugiej kraj, który bezwzględnie przyjął żydów i również upadł ekonomicznie (Polska), z trzeciej cały szereg krajów, które wypędziły większą cześć żydów, pozostawiając u siebie pewien nieznaczny procent i które osiągnęły wysoki stopień rozwoju ekonomicznego (Angja, Francja, Niemcy, Włochy).

Powstaje pytanie, czy kraje tej trzeciej kategorji byłyby osiągnęły ten sam stopień rozwoju ekonomicznego, gdyby były, jak Polska, bezwzględnie gościnne dla żydów, lub, jak Hiszpanja, bezwzględnie niegościnne?

Trudno przerabiać historję wstecz, lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa wypadnie odpowiedzieć twierdząco na te pytania.

Zupełne usunięcie żydów z Europy Zachodniej byłoby niewątpliwie zmniejszyło jej dorobek cywilizacyjny, lecz nie w takim stopniu, aby wpłynąć na ogólny jej rozwój. Bezwzględne przyjęcie żydów przez kraje Zachodnio-Europejskie byłoby miało prawdopodobnie ten rezultat, że cała kwestja żydowska przedstawiałaby dziś interes wyłącznie historyczny. Dziesięciomiljonowa ludność żydowska, rozproszona w kilkuset miljonowej ludności Europy Zachodniej i Ameryki, kształcona w szkołach publicznych, byłaby oddawna całkowicie zasymilowana przez otaczające narodowości tak, jak już są zasymilowani żydzi Zachodnio-Europejscy.

Jerzy Kurnatowski.

Myśli przewodnie w sprawie wychodźtwa.

III.

(Dokończenie).

Gdy niema powrotu osobistego do kraju rodzinnego, to na drodze wsparcia rodzinnego, na drodze przesyłania pieniędzy, ten stan posiadania, zawsze jeszcze ulega wzmocnieniu. Ta część wychodźctwa, która nie powraca, dzięki temu względnemu dobrobytowi, ma możność dźwigać się na coraz wyższe szczeble kulturalne, co najwyraźniej daje się spostrzegać na wychodźctwie polskim do Stanów Zjednoczonych, które ze stanu początkowo wyłącznie proletarjackiego częściowo zdołało wytworzyć pośród siebie niejaki ma-

łenki procent inteligencji zawodowej, i stan pomniejszych przedsiębiorców i kupców, co jest zadatkiem oczekiwanych dalszych szczeblów w hierarchji społecznej.

Podnosząc wszechstronnie swą kulturę obyczajową, umysłową, fizyczną, uczuciową, polskie wychodźctwo, zasilając się w miarę możności pod tym względem środkami i zasobami polskimi i nie zatracając przewodniej idei narodowej, przygotowuje się do odegrania w jakiejś, dalekiej czy niedalekiej, przyszłości poważnej roli pomocniczej w wymuszonych okolicznościami walkach narodowych na ziemiach polskich. Sądząc z dotychczasowego przebiegu dziejów wychodźctwa polskiego ostatniej doby prędzej można przewidywać, że się tak stanie aniżeli, że takie położenie i taki moment nie nastąpią.

O ile wychodźctwo polskie ludowe, skierowuje się do krajów cywilizowanych, to wynikają stąd i korzyści moralnej natury. Wywędrowanie polskiego wieśniaka, najmity, wyrobnika choćby na niedługi czas, staje się dla niego szkołą życia, otwierającą mu na nie jedno oczy choć są one mało przyuczone do widzenia i patrzenia inteligentnego. Uczy się on lepiej wartościować ludzi i stosunki, nabiera świadomości i poczucia praw człowieka, o których na ziemiach polskich bardzo głucho. Dzięki temu powraca on z odrodzonym charakterem, z którego starte są niewolnicze rysy takie, jak udana pokora, za którą czai się przebiegły podstęp zbyt słabego do otwartej walki. Odrodzony pod względem charakteru i pod względem kulturalnym, powracający wychodźca polski staje się siewcą kultury i wolności w swoim najbliższym otoczeniu rodzinnym i sąsiedzkim.

Tylko żywioły oparte na podatkach i rekrucie, tudzież obszarnicy mogą utyskiwać z powodu polskiego wychodźctwa zamorskiego. Zauważyć jednak należy, że jeżeli obszarnikom i przemysłowcom przez wychodźctwo wymyka się tani najmita rolny i fabryczny. to z tego wynikają tylko dobre skutki. Podniesienie płacy zarobkowej stwarza pomyślniejsze warunki dla kulturalnego dźwigania się szerokich mas ludowych, od którego cała przyszłość zawisła. Z drugiej strony, podrożenie pracy najemnej zmusza do stosowania i przyswajania sobie wysokiej techniki rolnej i fabrycznej, co tylko pożądanem być może. Wreszcie pomimo odpływających fal wychodźczych, przerastanie liczby zaludnienia ponad środki wyżywienia jeszcze pozostaje na tyle duże a formy bytu społecznego na tyle uwstecznione i barbarzyńskie, że dywidendy strzeżone przez powołane do tego organy na ziemiach polskich, są jeszcze tak wysokie, o jakich się w cywilizowanych i uspołecznionych krajach nawet nie śni nikomu.

Jeżeli wynika szkoda publiczna z powodu wychodźctwa, to tylko ta, że wraz z wychodźctwem opuszcza kraj spory procent ludzi zdrowszych, młodszych, śmielszych i więcej energicznych, niż pozostająca reszta tak, że w pozostających masach podnosi się procent niedołęgów, słabowitych i starych, co oczywiście nie jest korzystnym ze względu na nieuniknioną walkę o zagrożony byt narodu. Jest to kara za grzechy zbiorowe i historyczne które wytworzyły stan rzeczy zniewalający do odrywania się zdatniejszych elementów od pnia macierzystego. Tę zasłużoną chłostę z pokutniczym nastrojem przyjąć należy, uważając ją za naukę najwięcej poglądową, która dla przyszłości nie powinna być straconą.

Nie posiadając żadnej kompetencji i samodzielności prawodawczej, nie posiadając żadnej skutecznej egzekutywy, nie rozporządzamy niczym poważnem, ażeby doskonaląco oddziaływać na polski proces wychodźczy. Nawet Wydział Krajowy galicyjski, pomimo tylu lat praktyki, nie pozbył się nieokrzesanej roli karbowego, który ciągle przy lada okazji uniżenie winszuje Jego Królewskiej Mości, ażeby zapewniać o wiernej służbie i jak najczęściej napiwki wypraszać. Nawet Wydział Krajowy po tylu latach, nie przestał być ociężałą tabetyczno-hemoroidalną maszyną urzędniczą od załatwiania fatałaszków meljoracyjnych.

Tem więcej jakieś kamerdynerskie zabiegi rozmaitych niedowarzonych kuzynków ojczyzny pozbawione są godności, znaczenia i powagi politycznej. Z tym rynsztunkiem politycznym nie możemy ustanawiać swoich konsulów akredytowanych w krajach osiedleńczych, którym mogła przypaść w udziale rola opiekuńcza, zmierzająca do informowania i przestrzegania praw krajowych w odniesieniu do naszego wychodźctwa.

Wszelakiego rodzaju dziwacy, samozwańczo i z amatorstwa z całym partactwem i dyletantyzmem polskim, biorą na siebie gwałtem rolę takich konsulów, lecz skoro poza nimi nikt i nic nie stoi oprócz ich własnych pleców, śmiać się w nos takim nieborakom można. Sekundują im w tym niezdrowe instytucje, które zostały dorobione do rozmaitych jednostek przez te ostatnie. Jednostkom takim się zachciewa tego, do czego się głośno przyznać nie chcą i nie mogą i to jest pierwszy i główny niezdrowy początek tych instytucji. Nie tu miejsce rozbierać, dlaczego w Polsce takie dziwadła mogą powstawać.

Poza jednostkami lud wychodźczy jako masa z instytucji tych korzystać nie będzie, zwracać się do nich nie będzie i zaufania względem nich żywić nie będzie. Jeżeli wychodźca ma być zaopatrzonym w puklerz chroniący go przed klęskami podczas przejazdu do krajów osiedleńczych, to puklerza tego te instytucje wychodźcy polskiemu dać nie będą w stanie; mogą mu one tylko dać szwendającą się, gadatliwą niańkę lub bonę w surducie z której mały bywa pożytek. Jeżeli wychodźcę polskiego spotykają niepowodzenia czy podczas przejazdu, czy też na miejscu, w krajach osiedleńczych, to przyczyną jest zawsze tylko *niewiedza*, jeżeli więc się chce zmniejszyć klęski z tego źródła, trzeba tę *niewiedzę* przedewszystkim usunąć, a zresztą wychodźca polski już sam zdoła sobie poradzić.

Wszystko co jest w danych okolicznościach do zrobienia dobrego w dziedzinie wychodźctwa polskiego, będącego nieopanowalnym, koniecznościowym, historycznym przejawem, sprowadza się do przyswojenia wychodźczym masom obcych języków, niezbędnych znajomości geograficznych, rozumowe wyświetlenie stosunków gospodarczych, politycznych, etnicznych, społecznych, panujących w osiedleńczych krajach, obeznanie ich z normami, zwyczajami, metodyką podróży morskiej i lądowej, pouczenie o tym jakie kwalifikacje zdrowotne, techniczne, lub pieniężne posiadać trzeba, chcąc osiąść w tym lub owym kraju. Wszystko to razem już jest poważnym zakresem oświaty i kultury.

Podnosząc oświatę i kulturę mas ludowych w Polsce tym samym usuwa się bolączki polskiego wychodźctwa. Im wychodźca polski oświeceńszy i więcej uświadomiony będzie opuszczał kraj rodzinny, tym trwalszą będzie jego spójnia z krajem rodzinnym, tym prędzej zdobędzie w kraju osiedleńczym wybitniejsze placówki, tym niezawodniej uniknie klęski i niepowodzeń przejazdu. Wychodźctwo żadnego narodu nie podróżuje z niańkami i żadne klęski przejazdowe go nie trapią ani też bezkarnie żadnym oszustwom ani nieponiom się ono nie poddaje. Jeżeli tego rodzaju osobliwości przytrafiają się polskim wychodźcom, to przyczyna tego tkwi w tym, o czym wyżej była mowa i przyczynę tę potrzeba usunąć radykalnie. *Niańczenie* jest metodą podtrzymującą zło, kosztowną, bezcelową, szkodliwą i śmieszną.

Alexy Kurcyusz.

Wielki Kraków.

Wiek XIX w pogoni za zyskiem i zarobkiem wypowiedział wojnę dążeniu do ładu, harmonji, spokoju. Utylitaryzm urządzeń, bezpośrednia ich celowość naigrawać się się zdawały z dawnych form piękna, które budowały wieki i którym otaczały życie. Piękno chroniło się też po za życie, nie znajdując w nim dla siebie miejsca. Wyraża się to jaskrawo w powstaniu teorji, sztuka dla sztuki, oderwana, a nawet nieprzyjazna w obec wymagań dnia codziennego, gdy wieki dawne, od średniowiecza począwszy, ambicją swoją zakładały w doprowadzeniu do wyżyn sztuki rękoczynów służących codziennej użyteczności.

Utylitaryzm wieku pary i elektryczności wyraził się też przedewszystkim w arcytworze tego wieku,— miastach. Nie było w dziejach okresu, w którymby jak w wieku XIX, a zwłaszcza w drugiej jego połowie, aglomeracje ludności rosły równie szybko i do tak potwornych dochodziły rozmiarów. Wprawdzie, jak opowiada Herodot, wzdłuż każdej ze ścian, otaczających Babilon prowadziła droga długa na 22 kilometrów, powierzchnia tedy Babilonu zmieścić by mogła 7-io krotny Berlin. Jednakże, jeżeli nawet wyobrażenie nie uniosło dziejopisa, była to raczej ściana, otaczająca niezwiązane ze sobą grupy domów. Ludności nie starczyło bodaj na miljonowe miasta. Zdaniem znawcy ludnościowych spraw w starożytności, Belocha, jeden tylko Rzym dorastał miljona mieszkańców. Wielomiljonowym skupinom ludności naszych czasów, takim jak Londyn, Paryż, Nowy Iork, Berlin, Wiedeń i t. d. nie dorównało żadne miasto przeszłości. Wytworami ostatnich dziesięcioleci są również olbrzymie przemysłowe dzielnice, wyrastające na peryferji miast dawnych, oraz miasta o setkach tysięcy mieszkańców, grupujące się dokoła armji kominów fabrycznych, ilekroć przemysł dogodną dla siebie wynajdzie miejscowość. Ludność wiejska stoi w miejscu, co do swej ilości (jak np. w Niemczech) albo nawet stale ubywa (jak w Anglji), gdy miejska podwaja się przeciętnie co lat 25, a często narasta spontanicznie (np. w Łodzi).

Zmieniły się też radykalnie cele miejskich skupin. Gdy Grecy, naród miejski, ogromadzali wszystko, co było więcej wartościowego w społeczeństwie, gdy w wiekach średnich miasta służyły jako wyraz idei stanowej (skupiny stanu średniego), to w naszych czasach w miastach skupiają się ludzie wszystkich klas i stanów, przedewszystkim dla wygody i zarobku. Warstwy jednak, które o wygodzie myśleć mogą, są zawsze nieliczne, a ta wygoda, oparta na możności realizowania wielkich zysków, zależała aż dotąd na wydzielaniu jak najmniejszej części dóbr szerokim warstwom pracujących. Zaznacza się to wyraźnie w charakterze miast nowoczesnych, w kwestji mieszkaniowej uboższych klas ludności, w braku zieleni, w spekulacji gruntami, w budowaniu drapaczów nieba, a wreszcie w budownictwie pospiesznym, mało uwzględniającym plan ogólny, oszpecającym figurę miasta, w zaniedbaniu warunków zdrowia i piękna.

Reakcja musiała nastąpić. Upośledzone poczucie ładu i piękna upomniało się o swoje prawa, a przychodzą mu w pomoc postępy higjeny publicznej, oprzec się mogąc na rezultatach statystyki śmiertelności, zwłaszcza wśród dzieci, Estetyka i higjena niekoniecznie idą po rozbieżnych drogach. Wprawdzie higjena zadawalnia się zapewnieniem mieszkańcom dostatecznej przestrzeni, dobrego powietrza i wody i zwalczeniem bakterji przez czystość. Ale i estetyka dzisiejsza w dążeniach swych w zakresie budowy miast nie ograniczy się do konserwowania, czy stworzenia architektonicznych piękności, ale żąda obramienia zielonością, rozłożenia celowego części, przecięcia perspektyw, a zatym przestrzeni. Przedewszystkim zaś jedna i druga żądają planu nakreślonego z góry na szereg lat, w którym postęp ludności i rozwój miasta przewidzieć się dadzą. I oto widzimy, że nawet miasta tak wielkie, stare i pełne zabytków architektonicznych, jak Paryż lub Wiedeń, przebudowują się, walą całe dzielnice, przecinają arterje komunikacyjne, a uwzględniając potrzeby nowoczesnej komunikacji, rozwój handlu i przemysłu, bacznie mają na oku estetyczny wygląd miast.

Bo też zadaniem planów rozwoju miast jest połączyć nowoczesne potrzeby przemysłu i handlu, wprowadzić organizację w ruch i zamieszkanie obecnej i narastającej ludności miasta, umożliwić komunikację, a zatym rozróżnić główne arterje ruchu od ulic, służących przeważnie dla swoich mieszkańców, stworzyć terytorjum, pokryte roślinnością (ogrody, skwery, plantacje), takich rozmiarów, któreby odpowiadały zaludnieniu i odpowiednio je rozłożyć (norma 10 hekt. na 50 tys. mieszkańców), uwzględnić wymagania higjeny i rosnące zadania polityki społecznej.

Obok tych licznych warunków,niewątpliwie trudnych do sharmonizowania, istnieje jeszcze kardynalny, dany przez historję i dzieła sztuki architektonicznej, stwarzane przez dawniejsze pokolenia; oto należy w nowym planie na przyszłość uwzględnić charakter miasta, jego zabytki i nowe pomysły a nawet nowe dzielnice doń dostosować. Zadanie to występuje tym wyraźniej, im dalej wstecz sięga charakter miasta, im jego budownictwo było bardziej jednolitym, stylowym.

Zasłużylibyśmy na miano barbarzyńców w pojęciu przyszłych pokoleń, gdybyśmy, jak żąda tego np. p. Niedzielski w krytyce planów wielkiego Krakowa[1]), nie uwzględniali jego „odświętności", pozwolili dzielnicom fabrycznym usadowić się naprzeciw Wawelu, a ruch handlowy i portowy uważali za konieczny, wtór współczesnego życia dla przepięknych hejnałów. Miasta, które tak jak Paryż mają co konserwować, nie wstydliwie, ale racjonalnie, odsyłają przemysł fabryczny z jego kominami i dymem na peryferję, tam, gdzie nie kazi on harmonji całości, nie zakaża powietrza i tak już psutego przez samo nagromadzanie ludności, a gdzie może się jeszcze swobodniej rozwijać.

Czytelnicy darują mi ten przydługi wstęp do właściwego tematu jako dygresję niezbędną, dla sprawy w naszych stosunkach nowej.

Kraków jest pierwszym miastem polskim, które powiększając swoje terytorjum i ludność przez przyłączenie gmin podmiejskich, stara się o wykreślenie planu przyszłego rozwoju. Idzie w tym za tendencją, która przejawia się coraz silniej w Europie. Coraz liczniej zjawiają się w miastach dążenia do opanowania anarchji ich rozrostu. Coraz wyraźniej występuje protest przeciw zamianie siedzib ludzkich w bezładne skupiny, których wytyczną byłaby dążność do zysku i zarobku prywatnego. Stübben[2]) w pięknym swym dziele daje setki przykładów miast, które czy to dzielnice obszerne, czy całość przebudowały w czasach ostatnich zgodnie z wymaganiami nowoczesnego życia, estetyki i higjeny.

O konkursie na plan Wielkiego Krakowa, jego rezultatach, rozdanych nagrodach i t. d. pisały przed paru miesiącami wszystkie pisma polskie. Jednak dopiero przed kilku dniami ukazał się numer *Architekta*[3]), poświęcony sprawie wielkiego Krakowa. Przynosi on plany, sporządzone przez urząd miejski, dawny plan Krakowa z 1783 r., reprodukcje wszystkich 4 planów nagrodzonych, plansze rysunków ważniejszych pomysłów architektonicznych i parkowych, oraz stre-

---

[1]) Krytyka. Kraków lipiec — sierpień 1910.

[2]) Handbuch der Architektur Der Städtebau. Stuttgart 1907.

[3]) Zeu. 6, lipiec — sierpień z 1910 r.

szczenia opisów, dodanych przez autorów do ich planów.

Numer ten, wydany wytwornie, da fachowcom możność bliższego zapoznania się z obfitym plonem konkursu. Materjał nim objęty nastręcza publicyście pewne uwagi, do których ograniczy się na tym miejscu ze względu na dostępność samego źródła.

(d. n.). *Dr. Z. D.-G.*

Chłop-karjatyda.

Chłop jest żywicielem Rosji i skarbu państwa, nie przez swą kulturę lub pracę wysoce produkcyjną, lecz dzięki temi, iż jest pierwszorzędną siłą podatkową. W Rosji bowiem istnieją stany podatkowe (*podatnyja sosłowja*) i niepodatkowe. Do pierwszych należą między innymi włościanie — olbrzymia większość ludności — którzy ponoszą ciężar podatków bezpośrednich.

Niedawno departament podatków stałych (*okładnych sborow*) ministerjum skarbu ogłosił „Zbiór danych o wpływie i ściąganiu skarbowych ziemskich i gminnych podatków stałych w latach 1904 — 1906". Dane te wykazują jaskrawo cały obraz proporcjonalności podatków i cały ogrom ciężaru, ponoszonego przez lud.

Przedewszystkim przyjrzyjmy się cyfrom podatków, ściąganych z ziemi nadanej (po uwłaszczeniu). W 54 gubernjach (z wyłączeniem syberyjskich i Królestwa Polskiego) przypadało na jedną desiatynę wszystkich podatków (skarbowych, ziemskich, gminnych i asekuracyjnych) w kopiejkach: 158,5 w r. 1904, 106,9 w r. 1905 i 127,7 w r. 1906. Zaznaczyć winniśmy, że w r. 1906 cyfry były znacznie niższe z tego powodu, iż od 14 stycznia zniżono o połowę opłaty wykupne. W r. 1907 opłaty te wcale nie były pobierane. Z porównania z trzyleciem poprzednim widzimy, iż podatki te rosną z każdym rokiem (w r. 1901 na jedną desiatynę przypadało w kopiejkach 151,9, w 1902 r. 153,8, w 1903 r. 156,9.

To są cyfry przeciętne dla całej Rosji. Są one o wiele wyższe w poszczególnych dzielnicach. Tak np. w ciągu trzylecia 1904 — 1906 w dzielnicy środkowo-czarnoziemnej (g. Woroneska, Kurska, Orłowska, Penzeńska, Rjazańska, Saratowska, Symbirska, Tambowska i Tulska) na jedną desiatynę nadanej ziemi włościańskiej przypadało: w 1904 r. 251,2 kop. w 1905 r. 254,9 i w 1906 r. 206,9. W dzielnicy środkowo-przemysłowej 226,2, 230,2 i 179,6. W gubernjach południowo-zachodnich: w 1904 r. 223,6, w 1905 r. 235,4, w 1906 r. 180,9.

Lwią część tych podatków zabierał skarb państwa. W trzyleciu 1901 — 1903 na rzecz skarbu przypadała prawie połowa wszystkich podatków włościańskich. (48,3 proc. — 49,9 proc.). W r. 1904 skarb państwa zabierał 47,2 proc., w 1905 r. 46.2 proc. Nawet w r. 1906, pomimo zniżenia opłat wykupnych, skarb państwa zabrał trzecią część podatków włościańskich (33,2 proc.).

Jak dalece są wysokie owe podatki przekonają nas zestawienia dochodowości włościańskiej ziemi nadanej. Według obliczeń Jansona podatki byłych włościan państwowych w czarnoziemnym pasie trzypolówki wynosiły od 30 do 148 proc. dochodowości, i to, jak autor twierdzi—-dochodu fikcyjnego. U włościan obywatelskich podatki te nawet przewyższały dochodowość o 24 — 124 proc. przy średnim nadziale i do 200 proc. przy nadziale niższym, Liczba zaś włościan posiadaczy kategorji mniejszych nadziałów, była, według obliczeń Jansona, około 48 proc.

Nietylko średnie nadziały byłych włościan obywatelskich w pasie czarnoziemnym, ale i większe, a nawet nadziały włościan skarbowych nie mogą zapewnić opłaty podatków i „powinności", a nawet najniezbędniejszych potrzeb ludności włościańskiej". [1]) Położenie zaś włościan, którzy otrzymali ziemię w średnich lub mniejszych ilościach, zdaniem Jansona, jest nawet znacznie gorsze, niż za czasów pańszczyzny, „kiedy byli syci i kiedy obywatel ziemski płacił za nich podatki".

Poważni uczeni, profesorowie ekonomiści rosyjscy, którzy się zajmowali badaniem bytu włościan rosyjskich, stwierdzili niepomierne obarczenie podatkowe z pogwałceniem stosunku dochodowości i wszelkiej możnosci płatniczej. Stwierdzają to zresztą i źródła urzędowe — komitet statystyczny ministerjum spraw wewnętrznych, który zamieszcza, iż nadana ziemia włościańska daje na kapitał ziemski (z potrąceniem kosztów produkcji i podatków) 0,9 proc. straty".

Chcąc atoli mieć dostateczne pojęcie o nadmiernym obarczeniu podatkowym włościan, trzeba przedewszystkim zestawić je z opodatkowaniem innych kategorji właścicieli ziemskich. Bardzo ciekawe w tej mierze dane i zestawienia znajdujemy w pracy p. L. D-owa, zamieszczonej w *Kijewskiej Myśli*: pomijając długie kolumny cyfr, podajemy tylko dane ostateczne, stwierdzające, iż ciężar podatków wyłącznie włościańskich $3^1/_2$, a nawet $6^1/_2$ razy przewyższa ciężar podatków bezpośrednich, płaconych przez wszystkich innych prywatnych właścicieli ziemskich. Ale stosunek powyżej oznaczony dotyczy całej Rosji. W dzielnicach poszczególnych stosunek ten jest o wiele jaskrawszy. Np. w r. 1904 w guberniach południowo-zachodnich jedna desiatyna ziemi włościańskiej nadanej, była obciążona podatkami 10 razy większymi niż jedna desiatyna posiadłości przywatnej.

Nawet w łonie biurokracji dawały się słyszeć protesty przeciw takiemu systemowi opodatkowania włościan. Tak np. urzędowy ekonomista Szwanebach nazwał ten system „poważną chorobą społeczną" i „złem", które należy wyplenić. Również Terner, członek Rady państwa, wygłosił opinję następującą: „Trudno się nie zgodzić z tym, iż w naszym bytowaniu jest jedna ciemna plama, która jaskrawo nas oddziela od innych krajów cywilizowanych. Przeszło $^3/_4$ naszej ludności dźwiga ciężar systemu podatkowego, stanowiącego biegunowe przeciwieństwo w porównaniu z tym, co cały świat cywilizowany uważa obecnie za zasadnicze podstawy normalnego ustroju fiskalnego.

Bardzo mozolne, zestawione w tabliczkach obliczenia p. J. D-owa, prowadzą do wniosków następujących: nawet po zniżeniu opłat wykupnych, t. j. także w chwili obecnej, system podatkowy, stosowany do włościan jak również stopień ich obarczenia, wcale się nie zmieniły; że ze wszystkich warstw posiadaczy ziemskich najbardziej są obarczeni włościanie — posiadacze tak zwanych gruntów nadanych, najliczniejsi i zarazem najubożsi.

Podatki włościańskie, wynoszące $2^1/_2$ razy więcej, niżeli podatki innych prywatnych właścicieli ziemskich wskazują taki stosunek w obliczeniu ogólnym. W dzielnicach poszczególnych jest on o wiele wyższy. W niektórych miejscowościach dochodzi do bajecznej wysokości, np. w dzielnicy południowej prawie do *150 proc.* Jeszcze bardziej się uwydatni ten system, spadający całym swoim ciężarem na „stany podatkowe", a właściwie jeden stan podatkowy: włościański, jeżeli podatki te podzielimy na kategorje. Przedewszystkim więc podatki gminne (*mirskije sbory*). Te są ściągane wyłącznie z włościan, „przypisanych" do danej gminy (*wołosti*). Tymczasem z tych źródeł podatkowych nie są zaspakajane potrzeby włościan miejscowych; przedewszystkim idą one na potrzeby biuro-

---

[1]) Janson. „Próba badań statystycznych, dotyczących włościańskich gruntów nadanych i podatków".

kratyczne i policyjne, następnie zaś — na potrzeby *wszystkich* mieszkańców danej gminy. Nawet właściciele większej własności w niektórych miejscowościach zaznaczyli całą niesprawiedliwość podatków gminnych, obarczających włościan. W ogólnej sumie wszystkich podatków w okresie trzyletnim 1904 — 1906 podatki gminne wynosiły 25 proc. — 28,4 proc.

Jeżeli wszakże z podatków gminnych bardzo niewielka cząstka idzie na potrzeby włościan, to tym mniej a właściwie prawie nic nie idzie na ich korzyść z podatków innej kategorji (ziemskich), ściąganych z tych samych włościan.

Chłop w Rosji jest tedy ową szerokoramienną karjatydą, podpierającą gmach Fiskusu i wszelkie gałęzie gospodarki, mało przynoszące mu korzyści pośredniej lub bezpośredniej, a nawet przeciwnie — podatki chłopskie niejednokrotnie idą na takie urządzenia i zarządzenia, które przynoszą krzywdę włościanom. Między innymi, idą na wzmocnienie środków i szeregów funkcjonarjuszy egzekucyjnych, którzy nie tylko z bezwzględnością, ale niekiedy z dzikim rozpasaniem ściągają podatki. W pismach rosyjskich czytaliśmy mnóstwo takich przykładów ściągania podatków na przednówku tegorocznym, przy użyciu środków egzekucyjnych fizycznych.

Zen. Pietkiewicz.

BADANIA NAUKOWE.

W dziedzinie ludzkiej pracy umysłowej.

(Dokończenie).

101. Wobec panowania hypokryzji we wszelkich jej odcieniach, wobec licznych połączeń poważnych tradycji i przyzwyczajenia, rzeczą jest zbyt trudną dociekać, chociażby nawet po usilnej pracy, jaki wpływ posiada jeszcze w rzeczywistości religja nad duszami. Jakżeż bowiem odróżnić od praktykujących bez wiary tych, którzy wierzą, lecz już nie praktykują? Jak zliczyć tych, którzy zarówno od wierzeń jak i od praktyki się oswobodzili? W każdym atoli razie, zjawisko powszechne, już dające się zauważyć we środku XIX w., staje się coraz bardziej z biegiem czasu, widocznym. Za dni Voltaire'a wolna myśl oświecała tylko górne warstwy społeczeństwa. Blask jej nie sięgał nizin. W XIX w. ludzie niezależni nie wierząc, utrzymują że wierzą. Robotnicy, przynajmniej po miastach, wierzyć przestają i ośmielają się to wypowiadać. Świat robotniczy wyzwala się prawie wszędzie z pod władzy Kościoła. Nawet i rolnicy odczuwają konieczność tego... Wolna myśl atoli bez podstaw naukowych, na których się opiera, jest niczym więcej tylko dogmatyzmem, lecz odwróconym i pozostawia pole otwarte innym doświadczeniom nad umysłem ludzkim, przeto, jednym z bardziej naglącym obowiązkiem XX w. jest wzmacniać ów umysł zapomocą nauki, w celu przygotowania go do działalności spokojnej, ciągłej i niezależnej.

102. Zbawienie ludzkości myślącej ma być poszukiwane w nauczaniu religji, w wykazywaniu na czym one polegają, kiedy i jak zaspakajały potrzeby umysłu ludzkiego w jego rozwoju dziejowym, jakie bezpornie oddały mu usługi; ale zarazem — co przeszłe pokolenia ucierpały od ciemnoty i fanatyzmu, na jakich to mylnych podstawach oparte były rządy w wiekach średnich kapłanów, nakoniec — jak pocieszającym dla umysłu ludzkiego się przedstawia panowanie rozumu i oswobodzonej myśli...

Chciałem, kończy autor, za pomocą tej małej książeczki przyłożyć się do nauczania umiejętności owej, tak koniecznej. Ci, którzy ją przeczytają, nie pozostaną, mniemam, bezbronnymi na wystrzały starej a ciężkiej artyllerji apologietycznej; a również, jeśliby kto ich począł oświecać w imieniu Voltaire'a i jego sposobami, znajdą, co mu odpowiedzieć mają, a mianowicie, że nauka w XX w. im dostarczyła o istocie różnych religji i ich historji tych wiadomości prawdziwych, których sam Voltaire nie posiadał jeszcze.

III. Nie mogąc, z natury rzeczy, przedstawić treści tego dzieła w jej rozciągłości całej, ograniczyć się musiałem kilku ustępami, wyświetlającymi na tle ogólnym historji początek religji jako umiejętności i jej, jako umiejętności, cele naukowe i społeczne. Wyrażając podziw dla architektoniki dzieła, jako całości, dla bogactwa bezpośrednio ze źródeł pochodzącego jego treści, dla zwięzłości i jasności, bezwzględnej niezależności oraz, powiem, bezstronności wykładu, słowem dla wszystkiego, co świadczy o wiedzy i sztuce pisarskiej autora, jeszcze raz powrócić zamierzam do pewnych, już poruszonych, szczegółów.

Autor podzielił swą pracę, jak wiemy, na rozdziały, rozdziały zaś — na paragrafy. Do każdego rozdziału dołączył listę wyczerpującą prac obcych lub swoich, Bibljografję przedmiotu. Ponieważ konieczna, przy bardzo małych rozmiarach dzieła, zwięzłość w wykładzie niepozwoliła autorowi rozwijać szeroko swych twierdzeń, a nawet — te twierdzenia podpierać stosownie rozwiniętą argumentacją, przytaczane fakty dziejowe, wzmiankowane odkrycia archeologiczne, oraz wyprowadzane z nich wnioski poprzedzać ułatwiającymi ich dokładne zrozumienie wstępami; ponieważ, w podziwu godnej architektonice dzieła, każdy paragraf pojedyńczy w każdym rozdziale zawarł niby zwartą monografję oddzielną, z których dopiero złożyła się wspaniała całość, zarówno treści jak i formy; — autor do każdego takiego paragrafu dołącza wskazówki bibljograficzne, wyświetlające, gdzie czytelnik może znaleźć odpowiednie a wyczerpujące rozwinięcie danego twierdzenia, wytłumaczenie faktu, historję odkrycia, uzasadnienie wniosku, podparcie sądu.

Nim autor przystąpił do opracowania tej *Historji Religji*, ze czterdzieści jego osobnych prac specjalnych mieściły już katalogi dzieł naukowych, setki rozpraw odzielnych—spisy artykułów rozmaitych pism perjodycznych, tworzących naukę i rozsiewających wiedzę. Mógł więc autor w wielu, i to w ważniejszych wypadkach wskazywać w odsyłaczach bibljograficznych do oddzielnych paragrafów, swoje poprzednie prace; mógł, szczęśliwy, powoływać się w tych wskazówkach na własne swe dzieła, znane i uznane.

Wśród własnych swych dzieł, na które autor częściej się niż na inne powołuje, znajdujemy jedno, noszące tytuł: *Cultes, Mythes et Religions.* [1]) Jest to zbiór *dziewięćdziesięciu ośmiu* rozpraw i memorjałów autora (ze 103 wizerunkami), poświęconych przedmiotom wymienionym w tytule. Zawiłe kwestje *tabu*, a zwłaszcza *totemizm*, *magja*, pierwotne ofiarnictwo obszernie a źródłowo są traktowane w oddzielnych pracach.

Bibljografja, wykazana przez autora, obejmuje przeszło tysiąc dzieł. Lista abecadłowa nazw różnych przedmiotów i osób podaje ich trzy tysiące. Okres czasu przez te dzieła objęty odpowiada czasowi istnienia ludzi na ziemi Tysiące nazwisk — są to twórcy opowiadanych dziejów. Pomimo to wszakże, dzieło Reinacha stanowi wspaniały tylko wstęp do Historji Religji. Autor ułatwia jej poznanie, wzywa, zachęca do takiego poznawania. Wspaniałomyślnie ofiaruje

[1]) I — 3, Paris, 1908—1909. I i II tomy po 465 stronic; III — 538.

każdemu programat studjów samodzielnych, będący wynikiem pracy własnej i rozmyślania przez lat dziesiątki. [2])

Korzystajmy więc z daru.

I. Radliński.

LITERATURA i SZTUKA.

O prawdzie w uczuciu.

Nieuświadomiona, niszcząca siła szlachetnego nawet oburzenia rzuca się często na instytucje ludzkie o głębokiej wartości utajonej, choć strupieszałe w swoim „dzisiaj".

Wartość instytucji mierzy się głębokością niezaspokojenej jeszcze, a tkwiącej w niej, tęsknoty.

Ludzkość, jako całość genetyczna, miewa w różnych, a odległych epokach podobne w treści odruchy i dosyć podobne sposoby ich zaspakajania.

Bo trzeba wiedzieć, że epoki często są jak fale powrotne i zmierzchłość ich mierzy się nie latami, ale przyrostem czynu twórczego i prawdy.

Gdyby ludzkość żyła jeno instynktem, nie przekroczylibyśmy nigdy wrót zwierzęcego raju: człowiek stwarza sobie nawet instynkty; — a poza nim, poza twórcą leży bezkresny sen, w którym wszystko już gotowe powtarza się bezmyślnie, a w kółko.

* * *

Ludzkość w osobie materji broni strupieszałych form swej tęsknoty, w przejawach żywego ducha nowych jej urzeczywistnień.

Najbliższą formą idealnego uspołecznienia i wyjścia poza jaźń — jest małżeństwo, (rozumiem: współżycie mężczyzny z kobietą, bez względu na dekoracje).

Dziś, kiedy w życiu społecznym jesteśmy tłumem, a z samotności wychodzi się na łup, pod hasłem: „jest miejsce dla silnych łokci", mało mamy placówek, gdzie można hodować czystość charakteru i zaufania, bronić więc trzeba tych placówek przed chaosem, bo przedewszystkim u nas skarżą się ludzie, że im brak tchu, a z nikąd czystego powietrza.

W tym znaczeniu każda instytucja, wyrosła z tęsknoty, a nie z przemocy, jest sakramentem.

Małżeństwo bywa sakramentem, ale jeno jako ucieczka dla człowieczeństwa, jako samowychowanie uczucia, zdjęcie maski ostrożności i szponów spekulanckich.

O tym właśnie mówili poeci i prorocy ludów, na tym tle wyrosła dumna, bohaterka miłość i patos rycerstwa.

Do tego tęsknią samotnicy współcześni, którzy ze słuszną przesadą stronią od giełdy i brudnego obyczaju.

Też formalne tylko małżeństwo — z nałogu, z lenistwa, z wyrachowania, wreszcie z brutalnej głupoty opiekunów — jest właściwie „czworonogiem" według słów pewnego humorysty rosyjskiego.

Długo jeszcze będą musieli siebie wychowywać rodzice, zanim wolno im będzie hodować dzieci.

* * *

„Historja ludzka — to muzeum śmierci". Obumierają tkanki organizmu, sterczą czas długi na ciele, aż wreszcie stają się chorobą, albo tak szkodliwym organem szczątkowym jak np.: ślepa kiszka.

Żeby zaś nowe tkanki się utworzyły, serce powinno być ciągle żywym i jeno odnawiającą się krwią karmić organizm.

Trupie jady są straszną trucizną, a przecież szczepią je wciąż nowym pokoleniom.

Wracając do kwestji małżeństwa, nie mogę przemilczeć, że mamy za sobą tradycję lat niezwykłych, kiedy kochanka była towarzyszką bohatera, równoznaczną z ideałem, a nie trzciną podstępną, która w bagno wciąga.

Romantyzm Mickiewicza, romantyzm naszych wielkich duchów-tułaczy jest rzeczą bardziej praktyczną, niżby to się wszystkim ślepcom zdawać mogło.

Złączenie się dwojga, zawsze czujnych i odpowiadających sobie ludzi, to marzenie bojownika.

Tam jutrzejszych światów tworzywo, w miłosnym i szacunku pełnym współczuciu się ogląda, zanim na bojowanie, upokorzenie i chłód dokolnej nocy wynijdzie.

Tam niewiasta, dawczyni słodkiej łaski, pani i służebnica miłości, przeniosła ponad blichtr starego kłamstwa i łatwego zaprzaństwa — smutną i szarą chwilę współczesnego bohaterstwa.

Co o tym myśli dusza najlepszych w pokoleniu, to najjaskrawiej wyznał Żeromski.

Czemu Judym w godzinę świętej woli i ofiary nie dzielił zwycięstwa z Joasią?

Czemu nikt nie spostrzegł, że w tym miejscu Żeromski (może bezwiednie) pogardził najpiękniejszą z pośród swoich dusz kobiecych.

Więc Judym „żonę" swoją „przeznaczoną" uważał jednak za dziecko, któremu strasznego ognia czynu powierzyć nie można.

Powiedział on tej chwili kobiecie polskiej: jesteś cackiem, a nie mam dla ciebie złoconej klatki; nie dla ciebie ożywcze, więc często mordercze tchnienie rodzącego się jutra.

A przecież zdarzało się, że małżonkowie przysięgali sobie nietylko na senność i stępienie: wątłe dłonie często osłaniały sobą parzące płomię.

Judymie, czyż myślisz beznadziejnie, że Joasia nie różni się w gruncie rzeczy od Maryni?

Więc kiedy ludzie tobą pogardzą i wyśmieją, nie podejdzież ona do ciebie z cierpliwą miłością i czyż nie powie: duchem jestem również, jako ty!

Historja widziała rodzinę Sparty i Rzymu i nietylko tę starożytną, zna ona różne etapy..., ale odnowić w sobie trzeba szacunek dla siebie, to znaczy głębię uczucia,

Prawdy, nawet codziennej, uczyć się trzeba od poetów romantycznych, a nie na jarmarkach salonowych.

Duch ludzki pracą jest, a miłość wymaga ciągłej twórczości i czuwania.

Daleko jednak zabawniejszym jest kinematograf, a fajerwerki są bardziej efektowne.

Jan Rundbaken.

---

[2]) Jeszcze o trzech dziełach, mogących się przydać przy czytaniu wzmiankowyc Reinacha, wspomnieć muszę:

Arnold von Gennep: *Religions, Moeurs et Légendes.* Essais d'Ethnographie et de Linquistique, 1908

J. Soutain. *Etudes de Mythologie et d'Histoire des Religions antiques*, 1909.

Pierwsze odkrywa i porusza wiele zagadnień nieznanych z dziedziny obyczajów i religji narodów rozsianych po całej kuli ziemskiej. Drugie — wyjaśnia mało jeszcze dotychczas zbadane strony religji starożytnych Greków i Rzymian.

Nakoniec trzecie: H. Dreyfus: *Essai sur le Behaisme*, 1909, zawiera dzieje powstawania w Persji nowej religji z potępionego i zniszczonego przed pół wiekiem *Babizmu.*

KRYTYKA LITERACKA i ARTYSTYCZNA

Pisma Mochnackiego.[1]

Przypadająca w grudniu r. z. 75-cio-letnia pamiątka zgonu Maurycego Mochnackiego uczczona została pomnikiem godnym i trwałym. Złożyły się nań dwie prace wybitne, poświęcone osobie i działalności genjalnego pisarza i porywającego trybuna doby listopadowej: studjum p. Artura Śliwińskiego — *Maurycy Mochnacki, żywot i dzieła*, oraz zarys historyczny p. Jana Kucharzewskiego, pod takimż tytułem.

Obie prace, acz zawarte w granicach życia tej samej jednostki, objęte jednaką nazwą, osnute dokoła wspólnej lawiny zdarzeń, obie pomyślane syntetycznie, zgodne w ocenie zjawisk i charakterystyce czynników, posiadają jednakże odrębne, wzajem od siebie niezależne, racje powstania: odpowiadają odmiennym zadaniom.

P. Śliwiński dał nam syntezę postaci Mochnackiego; p. Kucharzewski natomiast pokusił się o odtworzenie środowiska, w którym Mochnacki żył, z którym się Mochnacki zmagał w tragicznej dziejowej walce.

Książka p. Sliwińskiego przedstawia obraz szalonego wysiłku człowieka, który wyrósłszy nad głowy swego pokolenia, widzi nadciągającą zgubę narodu, opętanego niemocą, więc chce go zbudzić wizją strasznych niebezpieczeństw; chce podnieść serce jego upadłe w trwodze; krew swoich żył i żar swego natchnienia oddaje na ofiarę wojny, odwołując się do najelementarniejszych potęg duszy narodowej, ciskając na skalę postanowień grozę okropnej przyszłości, i hart poświęcenia, i ukochanie swobody i wreszcie rozpacz chwili dziejowej, stężałą w jednym okrzyku: „Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie". Książkę p. Sliwińskiego czyta się jak epopeję bohaterstwa.

P. Kucharzewski z sumienną drobiazgowością badacza maluje odwrotną stronę procesu: odsłania ów mur twardego oporu, o który łamały się wszystkie pocitki piorunowej woli Mochnackiego; próbuje ogarnąć i zmierzyć otchłań martwoty społecznej, nieudolności zbiorowej i bezwładu; ukazuje on ową atmosferę słabości i niemocy, trawiącą duszę owoczesnego społeczeństwa, atmosferę, która sprawia, że nawet żelazna instytucja dyktatury wyradza się na powszechnym gruncie jałowości w parodję swej nazwy, w politykę utopji i półśrodków, w niedołęstwo. Czyta się to dzieło jak Eschylową tragedję Losów, łamiących wolę narodu przekleństwem wiecznej słabości.

— Jakże nie mieli zginąć w walce ze srogim przeciwnikiem—zapytuje p. Kucharzewski, streszczając głos naszych doświadczeń historycznych, — jakże nie mieli zginąć ci dobroduszni, serdeczni Polacy, walczący za wolność swych wrogów i własną, na placu boju mężnie patrzący w oczy śmierci, lecz nie umiejący zakuć swego zapału w stal czynu zbiorowego, mający łzy wzruszenia w oczach przy lada słowie poczciwym, bogobojnym, a przecie tchnącym zabójczą herezją przeciwko ojczyźnie, bo składającym stale na opatrzność to, co powinni byli zdziałać ludzie.

Sięgając zaś do źródeł złego, do zakażenia duszy narodu, dziś jeszcze, po latach 80-ciu, powtórzyć możemy za Mochnackim słowa, pełne goryczy i groźby, w bolesnym przeświadczeniu ich prawdy: „Polska — mówi on — nie zginęła brakiem obywatelstwa i cnoty, nie zginie brakiem męztwa i środków materjalnych, ale zginie TERORYZMEM NIEROZUMU".

Terroryzm ów, terroryzm nazwiska lub łatwowierności, terroryzm zaufania nieodpowiadającego zasłudze, posiada w Polsce niestety tradycję dawną i niepokonaną. Mistrzował on u nas po wszystkie czasy. „Byliśmy i jesteśmy dotąd dziwowidzami — pisał Mochnacki pod świeżym wrażeniem zawodu pokładanych w Chłopickim nadziei, — jesteśmy chwalcami, panegirystami, bądź mniemanego talentu, bądź urojonej jakiejś przewagi. Nic łatwiejszego jak zostać sławnym i popularnym w Polsce. Mamy wielkich literatów, którzy nigdy nic nie pisali, wielkich obywateli, którzy nigdy nic dobrego dla kraju nie zrobili, wielkich dyplomatyków, którzy ledwo czytać umieją. Sławy, reputacji, popularności dostać u nas można, jak lichego na jarmarkach towaru.. Biada temu u nas, kto myśli swoją głową i swoim rozumieniem rzeczy około siebie pojmuje! To wichrzyciel! To burzyciel!... Ufność niechaj będzie nagrodą zasługi, ale nie zachętą do działania... Obskurantyzm polityczny nie toleruje u nas żadnej opozycji..."

Umysł Mochnackiego, dzięki przyrodzonym darom spostrzegawczości, wysoce rozwiniętej władzy syntetyzowania wrażeń, tudzież szerokiej kulturze filozoficznej, która dawała mu możność orjentowania się w hierarchji zagadnień dziejowych, wzbił się na owe wyżyny sądu, gdzie przeżycie osobiste nabiera znamion doświadczenia historycznego, chwila staje się wykładnikiem okresu, aktualność zlewa się z rytmem epoki, a człowiek urasta do powagi przedstawiciela ludzkości. Na wyżynach owych znikają przegrody lat i przegrody pokoleń. Ten, kto przez jedną chwilę dźwigał w piersiach swych losy narodu, ten żyć będzie wiecznie w dziejach swej ojczyzny.

To też, jeżeli w dziełach, wyświetlających czyny i myśli Mochnackiego, składających hołd jego zasługom, uznaliśmy pomnik godny pamięci nieustraszonego działacza, to jednocześnie nadmienić wypadnie, że pod ów pomnik podstawą najwłaściwszą będzie szerokie upowszechnienie bogatej spuścizny duchowej autora „Powstania".

Czas naprawić krzywdę, wyrządzoną płomiennej myśli wielkiego bojownika postępu, albowiem jego krzywda była w istocie krzywdą naszą, stratą i uszczerbkiem naszej kultury.

Temu wezwaniu chwili, tej naglącej potrzebie kultury czyni zadość obecnie chwalebna inicjatywa p. Sliwińskiego, którego staraniom i gorliwości zawdzięczamy wydanie w edycji książkowej artykułów, studjów, recenzji, odezw i polemik literackich Mochnackiego z okresu najgorętszego napięcia walki romantyków z klasykami.

Słusznie zaznacza p. Śliwiński, że pisma te, butwiejące poprzednio w pyle bibljotecznym, rozproszone po licznych dziennikach i tygodnikach, pozostałych z epoki Królestwa Kongresowego, posiadają pierwszorzędną wartość dokumentu historycznego. „Do charakterystyki ówczesnego pokolenia, do dziejów kultury polskiej, do walki prądów literackich zawierają niejeden cenny przyczynek. A obok tego... są wspaniałą lekcją dla duchowych spadkobierców Koźmianów i Mostowskich, są wreszcie wzorem pięknej pracy polskiej. Ponad to jako burzliwy protest przeciw wszelkiej miernocie, jako niemiłosierne torturowanie „urojonych czcicieli piękna" „mniemanych mistrzów rozsądku", jako walka z autorytetami, które narzuca społeczeństwu nieuctwo, bezmyślność i rutyna, są przepyszną manipulacją twórczego i niepodległedo ducha".

Cały skrzętnie z czasopism wyłowiony plon artykułów Mochnackiego, w tomie omawianym zawarty, podzielony został przez wydawcę na cztery grupy: w pierwszej zgromadzono studja treści literackiej; druga składa się z recenzji teatralnych; trzecią stanowią sprawozdania muzyczne; grupa ostatnia pod nazwą

[1] Maurycy Mochnacki: *Pisma* po raz pierwszy edycją książkową objęte. Wydał i przedmową poprzedził Artur Śliwiński. Lwów. Warszawa. 1910

Varia obejmuje różnolity materjał uwag, spostrzeżeń bystrych, refleksji głębokich, pomysłów, nastręczonych koleją zdarzeń, nieraz powszednich, czasami bardzo doniosłych.

Czytając dzisiaj te pisma, wskrzeszone z grobu zapomnienia, podziwiamy, podziwiać musimy ich żywotność. Poznajemy je wszystkie niemal jako argumenty własnych swych przekonań, jako historyczne podstawy i przesłanki dzisiejszych naszych poglądów i pewników. Śledząc bieg rozumowań i wniosków Mochnackiego, odbywamy niejako drogę dokonanego przez nas rozwoju; zaczynamy rozumieć genetyczny związek naszych myśli, dochodzimy do pojęcia ich rozwojowej dynamiki.

W zakresie krytyki literackiej, ocenie wartości estetycznych, w odcieniu głębokich wrażeń sztuki i poezji narodowej, żyjemy poprostu zdobyczą jego odkryć, tryumfem jego prawd, zrazu odpieranych przez obojętność, potym zwalczanych przez fanatyzm.

Sięgając dzisiaj do pism jego, wkraczając w samo ognisko walki i ścierania się prądów, stajemy się niejako świadkami naocznymi wielkiej kuźnicy ducha, w której genjusz twórczości narodowej wykuwał nowe prawa życia i nowe prawdy myśli, mające stać się prawdami naszymi.

„Pisma" Mochnackiego powinny znaleźć się w książnicy każdego światłego Polaka, obok dzieł znamienitych klasyków poezji i literatury. Składając hołd myślom Mochnackiego, uczcimy to, co w duszy naszej jest najszczytniejsze i zarazem najgłębsze.

W. Rzymowski.

Z Teatru Małego.

Uszkodzeni. Sztuka w 3-ch aktach przez Brieux'a.

Jeżeli kierownikowi Teatru Małego możnaby zarzuty pewne stawić pod względem doboru sztuk inscenizowanych, to z drugiej strony ruchliwość repertuaru, energja i pośpiech w przygotowywaniu materjału scenicznego zasługują na bezwarunkowe uznanie. Jakże korzystnie scena prywatna odbija swą pracą oraz szybkością inicjatywy od Teatrów Rządowych. Gdy scena „Rozmaitości" ledwie raz na miesiąc zdobywa się na premjerę, Teatr p. Zalewskiego, przy bardzo szczupłym personelu artystów, niemal co tydzień występuje z nowością.

Ostatnio wystawiono tam sztukę, mającą poza sobą dość burzliwą przeszłość cenzuralną. Przed kilku laty *Prawda* zdawała czytelnikom swym sprawę z jej treści, gdy dramat ten wystawiono w Paryżu i po kilku przedstawieniach, na skutek zakazu cenzury, cofnięto z repertuaru. Nie jest to właściwie dramat, lecz w formę djalogu przybrana lekcja poglądowa hygjeny społecznej. Wykazuje ogrom spustoszeń, czynionych śród pokoleń dzisiejszych przez zarazę syfilisu, rozbija szereg zgubnych lekkomyślnych przesądów, potęgujących grozę niebezpieczeństwa, wreszcie w sposób alarmujący odwołuje się do władzy państwowej z wezwaniem do przedsięwzięcia zapobiegawczej akcji ratunkowej. Artyści—wykonawcy, zwłaszcza p. Orliński i Szarski w swych ponurych makabrycznych rolach, oraz p. Kamińska, która śród moralnej i fizycznej ohydy, stwarzanej przez akcję dramatu, potrafiła zachować wdzięk i urok młodej postaci — czynili wszystko, by sztuce nadać złowieszcze znamię prawdy.

R.

NA DOBIE.

Macochizm za oceanem.

Nietylko tu, w kraju, gdzie panuje atmosfera sparta, ucisk i zastój na wszystkich polach, gdzie przykład z góry nakłania do samowoli i bezkarnych gwałtów—nietylko tu kler rzymsko-katolicki znęca się nad ludem, ogłupia go i wyzyskuje... To samo dzieje się za oceanem, w Stanach Zjednoczonych Am. Półn., gdzie w atmosferze równości, w pełni swobód i zwyczajów demokratycznych, wszechmocni na wychodźstwie księża nie lepiej od naszych sobie poczynają. Pismo amerykańskie „*Związek*" (N. 18) organ *Związku Narodu Polskiego*, piórem kapłana, ks. Iskierki, taki rysuje obraz owych stosunków:

„Bieda moralna, materjalna i pijaństwo! Kapłan katolicki, a przedewszystkiem polski, jako św. Teologia powiada, na pierwszym miejscu nosi imię Ojca.

A co ten Ojciec dla emigranta naszego uczynił? Zdemoralizował go swoim złem postępowaniem. Ten Ojciec, noszący miano doktora, którego obowiązkiem, jest koić rany ludzkości, sieje na każdym kroku zgorszenie.

Nareszcie, jako Polak-kapłan, lud zaprzedaje w sieci amerykańskich biskupów i gubi go na wieczne czasy pod względem narodowym i religijnym.

Przecież własność prawie miliardowa kościołów polskich została własnością biskupów amerykańskich. Księża dla większych dochodów i pozyskania łask biskupów niemieckich, lud polski szybkim pędem amerykanizują.

Mało tego, w przedsionkach kościołów lud pobożny klęczący spokojnie nogami kopią, że wskutek braku pracy nie uiścili się z kolekty kościelnej. Ażeby kto mnie nie posądził o stronniczość, podam przykłady: przed paru dniami odwiedziłem w sprawach redakcyjnych Youngstown, Ohio. Na południowej stronie szczęśliwie panuje na plebanii polskiej ks. Wilk Tłumy ludu witały mnie. I co o tym Wielebnym Ojcu dowiedziałem się z ust nieszczęśliwego ludu pracowitego?

Opowieść taka: Nogami kopie pobożnych w kościele, Związek Narodu Polskiego i Sokolstwo z ambony co niedzielę przeklina, niewiasty i małe dzieci poniewiera i życiem swoim gorszy. Nieprawda, że to jest dobry pasterz polski? Idźmy dalej: jest ksiądz w stanie Ohio, H., litewski, dla zemsty nad swoim nieprzyjacielem rozbił w nocy młotkiem puszkę z Przenajświętszym Sakramentem, ażeby podejrzenie tej zbrodni rzucić na owego nieprzyjaciela swego Na to mamy dowody w tece redakcyjnej.

Ks. Ignacy Abromaitis, w polsko litowskiej parafii w Dubois, P., który przedtem był proboszczem w Allegheny, Pa., co on czyni z ludem polskim i litewskim? Ludem poniewiera, umarłych nie grzebie bez wygórowanych cen, farmy kupuje, administrator parafialny najgorszy. *Cztery lata duszpasterzując*, pośród ludu biednego, i w ubogiej parafii, *zdołał ten włodarz w „winnicy pańskiej"* złożyć do jednego tylko *banku 22 tysiące dolarów*, na co mamy dowody. Naciągnąć kapłana, swego współbrata na setki dolarów, pokupować bardzo wielkie farmy w okolicach Pittsburga — czy to nie jest dobry przykład? A co powiemy o Dembińskich, Goszyńskich, Tomaszewskich, którzy tak dobrze pasterzują nad ludem polskim i strzygą wełnę nożycami, rozpalonymi na ogniu nieuczciwości kapłańskiej?"

Rewelacje ks. Iskierki podaliśmy tu *in extenso*, nie chcąc nic uronić z ich swoistego kolorytu; autor wywody swoje następującą kończy przypowieścią:

Była bogini u Egipcyan, która się zwała Izyda. Była ona bardzo czczona przez lud egipski, posiadała ona niezliczoną liczbę kapłanów, lud pogański całego

Egiptu codziennie przychodził do świątyni tej bogini, przynosząc w ofierze posągowi dary, jako to: na najwyszukańszych miseczkach potrawy, które składali u stóp bogini Izydy, wierząc w to, że ona je spożywa. Kapłani zaś Izydy, mając potajemne przejścia w podziemiach, kradli te miseczki i sami zjadali, ludowi zaś głośno głosili, że bogini Izyda spożyła. Ach! iluż to my mamy pośród naszego polskiego duchowieństwa w Stanach Zjednoczonych kapłanów, noszących suknię rzymsko-katolicką, imię wielebnych ojców, którzy są absolutnymi kapłanami Izydy!

Kapłani Izydy! lud polski w Stanach Zjednoczonych oświeca się z każdym dniem na krzywdy mu przez was wyrządzone i więcej a więcej się oburza.

Nowa uczelnia ludowa.

Obok szkoły dla dziewcząt wiejskich w Kruszynku, dzięki pomocy ludzi ideowych ocalonej od zagłady staje w tym roku druga uczelnia podobna, a mianowicie „*Ferma Gołocka dla praktycznego kształcenia dziewcząt włościańskich w gospodarstwie wiejskim*". Gdy jednak szkoła kruszynkowska żyje obecnie li tylko dzięki ofiarności publicznej, w Gołotczyźnie odrazu rzecz postawiono na trwałych podwalinach. Szkoła gołocka posiada specjalną ustawę, zatwierdzoną przez Wydział Rolnictwa, a co ważniejsza, rozporządza kilkowłókowym obszarem i budynkiem, czyli że posiada swoją własność i dostateczne środki do utrzymania się bez żadnego poparcia. Program obejmuje: rolnictwo, ogrodnictwo, hodowlę zwierząt i roślin, weterynarję, pszczelnictwo, krój i szycie bielizny, koszykarstwo i inne gałęzie przemysłu domowego. Obok zajęć mogą się odbywać związane z niemi wykłady teoretyczne ze wszystkich dziedzin przyrodoznawstwa...

W tych dniach otwarto tę nową placówkę postępu i kultury ludowej, która niewiele wprawdzie znaczy w obliczu niezmiernych w tej dziedzinie luk i braków, ale olbrzymie ma znaczenie, jako przejaw inicjatywy twórczej, ochoczej, rozumnej...

Jako takie właśnie dzieło, szkoła Gołocka musiała ściągnąć na siebie gromy i groźby ze strony tych sfer, które nietylko darzą nas Machochami, ale nadto burzą i pustoszą wszelkie zapoczątkowania świeckiej, ludowej kultury polskiej, sprzecznej z ich jaskiniowym trybem życia i myślenia.

„Szkoła — czytamy w *Zaraniu* — która zrodziła się z wielkiej ofiarności, ze szlachetnego i bezinteresownego umiłowania ludu, z najczystszej i najgorętszej chęci rozkrzewienia w nim oświaty, nadto szkoła która ma drzwi zamknięte dla wszelkiej partyjności i agitatorstwa, powinna by zyskać szacunek, opiekę i sympatję wszystkich dusz, ogrzanych pragnieniem dobra społecznego, a zwłaszcza dobra ludu. I rzeczywiście pozyskała te uczucia, tylko z kamieniem i błotem stanął przeciw niej *miejscowy proboszcz* z parafji Sońsk, ksiądz Chełchowski"...

Ten proboszcz sońskí zjawia się tu, jak *deus ex machina*... Zdziwilibyśmy się bardzo, gdyby w akordzie głosów, niosących hołd powitalny nowej uczelni ludowej, zabrakło gniewnego dyszkantu ks. proboszcza...

Uroczystość nie byłaby zupełna.

Ks. Chełchowski nie lubi Darwina.

Nigdzie na całej kuli ziemskiej, niema Karol Darwin równie zaciętych wrogów i bezwzględnych krytyków, jak na plebanjach polskich. Tutaj dzieła wielkiego przyrodnika poddawane są druzgocącej krytyce, ścisłemu badaniu, sumiennej analizie, po której nic innego nie pozostaje. jak rzucić do pieca bałamutne i lekkomyślne prace o przemianie gatunków i o pochodzeniu człowieka.

Żarliwość naukowa naszych kapłanów nie lubi zamykać się w czterech ścianach pokoju, wykracza poza nie, rozpiera się na kazalnicy i powołuje całe masy chłopstwa do współpracy nad teorją Darwina...

I mówią też to, że księża przeciwni są popularyzacji wiedzy!

Ks. Chełchowski posuwa swój zapał uczonego tak daleko, że nietylko zwalcza Darwina, ale każe chłopom tępić, zabijać... darwinistów.

Coprawda, jest to metoda zarzucona już na Zachodzie od czasów Giordana Bruna, ale u nas wywołać może przewrót w... przyrodoznawstwie.

Ks. Chełchowski wykłada z kazalnicy stylem zwięzłym i barwnym, a nawet — soczystym. Oto próbka jego naukowej elokwencji:

— „Słyszymy, że jakaś Binieckówna chce stworzyć nową religję. Jest to potwór, którego należy się wystrzegać. Jej wyznawcy mówią, że nie pochodzą od Adama i Ewy, ale że zrodziła ich małpa. Ten małpi ród szerzy zarazę i chce zgubić naszą wiarę katolicką i zabić uczucia patryjotyczne. (*sic.*) A wiecie gdzie są ci, co takie teorje głoszą? Tu u nas, niedaleko kościoła (*Szkoła w Gołotczyźnie*).. Starajmy się, bracia, ten małpi ród zniszczyć, tę zarazę wytępić..."

Aby zaś nie było niepewności co do środków niszczenia i tępienia darwinizmu, ksiądz proboszcz stawia kropki nad i:

— „Dawniej stawano w obronie wiary z kamieniami, a nawet zabijano, przelewano krew, która i teraz polać się musi. Brońmy wiary jak kto umie!„

Ano brońmy. Czem kto może: drągiem, kamieniem, pięścią... Skutki nie dadzą długo czekać na siebie.

POD ŚWIATŁO.

Na Starym Mieście.

(Kanonia. W głębi — kamienica, należąca niegdyś do Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a dzisiaj do Or-ota. W pośrodku stoi Or-ot nieco blady i co chwila dla dodania sobie sił i otuchy połyka pastylki, które wyjmuje coraz to z innej kieszeni. Dokoła Or-ota lokatorzy wspomnianej kamienicy: garbata *panna Domicela*, cechmistrz *Melchior Halabarda*; *Panna, która powiedziała, że wiersze Or-ota są głupie* i jeden z artystów dramatycznych, którego literą *R.* oznaczymy.)

Or-ot (*połykając pastylek*)

A któż nazwie mię osłem,
Że komorne podniosłem?
Krajowa zmusza bieda
Brać, co da się i nie da...
Mam zubożeć? Nie po to
Jestem wszak patryjotą!...
Po co więc na ulicę
Nieść oną tajemnicę?
Robicie wołu z muchy.
Lecz kpię z waszej rozpaczy!
Naród mi to wybaczy...

Halabarda

Klnę się na żur z omastą,
Żeś okradł Stare Miasto,
Wyławiając przed laty
Do wierszydeł tematy, —
A dziś zamiast wdzięczności
Szarpiesz nam stare kości?

Or-ot

Nie krwaw mi serca wzgardą,
Ostatni Halabardo!
Swojskość moja i twoja
To — narodu ostoja!

Poczciwe my ludziska, —
. . . . . Daj pyska!

Halabarda Pierwej bym rozum skręcił,
Niżby mnie pysk twój znęcił!

Domicela (*występując naprzód*)
Śpiewałeś o mnie trele,
Czcząc w pieśniach Domicelę,
Marzyłam co noc blada,
Że się ktoś do mnie skrada,
Ktoś swojski, staromiejski,
Ktoś dziwnie czarodziejski
I w samym środku rynku
Złoży mi w upominku
Serce do stóp mych bieli
Z napisem: Domiceli!
Lecz serce masz potworne:
Podniosłeś mi komorne.

Or-ot (*połykając pastylek*)
Już tobie, Domciu, pono
Bezdomcią być sądzono...
Na dolę twą bezdomną
Zwól wylać łzę ogromną!
Niech Domcia nie przeklina,
Bo jestem — poczciwina!
Toć oddam całą duszę,
Ale zarobić muszę!...
Kwit oto mieszkaniowy
Do stóp twych składam bieli
Z napisem: Domiceli!
Spłać mi go choć na raty:
Ojczyzna żąda spłaty!
Insza rzecz jest — erotyzm,
A insza patryjotyzm!

R. (*występując naprzód*)
Od potopowej słoty
W domostwie tym wytwornem
Trwałem w zgodzie z komornem.
Przecz czynsz na Starym Mieście
Podniosłeś mi o dwieście?...
Żal do cię mam wiekowy...
Odchodzę! Bywaj zdrowy!...

Or-ot Klnę się na Wolffa imię,
Iż żal twój mam w estymie!

R. Przysiąż na Gebethnera,
Że pierś ci skruchą wzbiera!

Or-ot (*nieco blednąc*)
Przysięgnać ci nie mogę...
Idź dalej w swoją drogę.

(*R* odchodzi w milczeniu uroczystym)

Panna, która mówiła, że wiersze Or-ota są głupie (*występując naprzód*).
Rzekłam w dni wiosny pierwsze,
Iż głupie są twe wiersze,
Z początkiem zasię zimy
Nie lepsze tworzysz rymy.

Or-ot Zemdlałaś, białogłowo;
Wyrzekłszy ono słowo,
Dla mojej satysfakcji
Zemdlałaś mi w Redakcji...

Panna Gdybym wówczas nie mdlała,
Byłbyś zgubion bez mała!
Zemdlałam od niechcenia
Z zbytniego ugrzecznienia, —
Wodą mnie opryskano,
Z twych wierszy pompowaną!

Or-ot Bóg dla mnie się postarał,
Iż cię zemdleniem skarał!

Panna Nie zawracaj mu głowy,
Poeto tygodniowy!
Duszo ilustrowana,
W reklamach zapodziana!

Or-ot Bodaj cię skarał za to
Bóg — wieczną niewypłatą!
Bodaj cię zapoznała
Wolff i ojczyzna cała!

Panna Wolff — mężczyzna w gotówce,
Mylisz się więc w końcówce!

Or-ot Nie dziw, że w takiej chwili
Człek końcówki pomyli.

Panna Literatura cała
Z głowy ci wywietrzała!
O Hersem mało-wiele
Stylizujesz nowele,
Henneberg i Lardeli
Mają też po noweli...
Czcisz postęp tajemniczy
Kosmetyki leczniczej,
Po nocach snujesz blady
Dla pań poufne rady,
Ze światła robisz — ciemność,
A z ojczyzny — przyjemność...
A z historji — ramoty...

Halabarda (*oburzony*)
Już dość! Nie ścierpię tego!
Nim się ptaszek opierzy,
Za mną — kto w Boga wierzy!

(Podbiega do *Or-ota* z podniesionymi pięściami, za nim — reszta lokatorów).

Or-ot (*niespokojnie*)
Snadź mi się dziś nieszczęści,
Bo widzę wokół — pięści...
(*z przestrachem*)
Jam chory! Ledwo dyszę!
Doktór zalecił ciszę!

(Lokatorzy okładają go pięściami. *Or-ot* upada zemdlony. Zza węgła wysuwają się dwaj stróże. Lokatorzy na ich widok pierzchają).

Stróż I A to ci awantura!
Leży — literatura...

Stróż II Ot — pomściły komorne
Lokatory niesforne!

Stróż I Możeśmy się spoźnili?
Chwila nie równa chwili..

Stróż II Jak zapóźno — to szkoda,
Ominie nas nagroda!

Stróż I Był z niego stróż surowy
Literatury nowej!
Przestrzegał od początku
I ładu i porządku.

(Deszcz kropić zaczyna).

Stróż II (*szarpiąc Or-ota za rękę*)
Nie leż pan w niepogodę!
Zbudź się i daj nugrodę!

(*Or-ot* ocyka się.

Or-ot Gdzie jestem? Czy już świta?
Stróż I Daj nagrodę i kwita!
Stróż II Myśmy cię ratowali,
Z omdlenia ocykali!
Or-ot (*podnosząc się*)
Oto na nogi stawam!
Sam Wolff tryngielty da wam...
A ja za poratunek
Dam tu wam poczęstunek
(wyjmuje z kieszeni pastylki)
Piękna to dla was chwilka?
Masz tu każdy — pastylka!

(Daje im po pastylku i wchodzi w bramę kamienicy).

B. L.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* PO KATASTROFIE. Gdyby wykrycie tajemnic jasnogórskich innych nie miało następstw, jak popłoch bezładny później przygnębienie i „ekspjacja"—należałoby zwątpić o naszym narodzie. Ale straszny fakt podziałał na ogół jakby plaster piekący, aplikowany wytrawną ręką lekarza: dziś nie brak już objawów uzdrowienia i można przypuszczać, że będą one coraz częstsze.

Goniec warszawski, który podczas dyskusji na temat „postępowego antysemityzmu" odchylił się znacznie od rutyny zachowaczej, zajął i w sprawie jasnogórskiej stanowisko krytyczne, co świadczy o pewnej stałej orjentacji tego organu w kierunku wolnomyślnym.

Szereg artykułów p. Makowieckiego, Grużewskiego, Żegoty, ks. D.-w., był dla ogółu czytelników *Gońca* niespodzianką — chciejmy wierzyć — przyjemną. Tym lepiej dla *Gońca* i tym gorzej dla — *Gazety Warszawskiej*. Artykuł p. t. *Dziwna metoda* z d. 31 paźdz. demaskuje różnych kaznodziejów, którzy z ambon kościołów usiłują subtelnie sugestjonować, że:

> głównym winowajcą istnienia wszelakich Damazych i Izydorów jest społeczeństwo polskie. Bardzo to dogodny sposób ujawniania podobnych spraw, ale, trzeba przyznać, mało przyzwoity i uczciwy. Wiadomo bowiem, że stan duchowny usilnie stara się o przywilej nietykalności i niewglądania w jego postępowanie.
>
> Podobna metoda zwalania głównego ciężaru winy na barki ogółu jest możliwą jedynie w mało uświadomionym społeczeństwie, nie umiejącym stanąć we własnej obronie przed publicznym ciskaniem zarzutów nieuzasadnionych. I oto okazuje się, że w danym wypadku, gdzie może być mowa jedynie o ekspiacji pewnej części duchowieństwa, słabo odpowiadającej swemu zadaniu — kapłana-obywatela, część organizacji duchowej stara się wyzyskać wiarę i dobroduszność naszego narodu, poddać go biczowaniu, które będą uskuteczniali, o ironjo! ci, wśród których zebrały się bez wpływu bezpośredniego mas polskich podobne wrzody, jak Damazy, Izydor i inni.
>
> Przeciwko omawianym zakusom oderwania uwagi od siebie, t. j. od duchowieństwa, a skupienia jej na ogóle, należy najsilniej zaprotestować.

* Rewelacje ks. D-w. w Nr. 475 *Gońca* zamieszczone p. t. *O groźnem położeniu* wywołały ze strony *Dziennika Powszechnego* okrzyk niecierpliwości i groźby: *Quousque tandem!..* Owo *quousque* bynajmniej nie stosuje się do Macocha i jego epigonów, lecz do księdza D-w., że miał śmiałość szpetne przywary swojej kasty wytknąć publicznie, bez ogródek...

Ciceronom *Dziennika* sygnalizujemy jeszcze jednego Katylinę, w osobie ks. Iskierki, który, wiedząc, jak sam pisze, że imię jego „będzie sponiewierane na łamach pism klerykalnych", szepnął „naszym wielebnym" niejedne gorzkie słowo prawdy. (Por. *Na dobie*).

Historja się nie powtarza. Tym razem, jak się zdaje katylinarne jednostki, w rodzaju dwóch wymienionych księży, nie ocalą Rzymu od upadku, spowodowanego przez wykrętnych, chciwych i ciemnych... Ciceronów.

* *Zaranie* otrzymuje ze wszystkich stron kraju wyrazy uznania za męzką i stanowczą obronę interesów i praw ludu, zwłaszcza w stosunku do duchowieństwa. Jeden z takich głosów, pomieszczony pod wymownym nagłówkiem: *Zdawajcie rachunki z naszych pieniędzy!* opowiada się temi słowy przeciw zasadzie „nietykalności" księży.

> „W dawnej Polsce zawsze odróżniano religję od księdza i w najbardziej religijnych czasach błędy i niecnoty księżowskie potępiano. Posłuchajmy, naprzykład, co powiada szczery i religijny katolik, poeta polski w wieku XVII-ym, Wacław Potocki, o zdzierstwie księży:
>
> „Podobnoć na się księży ichmościów obrażę,
> Ale więcej Ojczyzny, niż ich łaskę ważę...
> Samże ksiądz na śmiertelnej pościeli przy chorym
> Pisarzem testamentu, sam egzekutorem:
> Choć więcej nie zostało tylko jedna krowa,
> Niech dzieci głodem pomrą — na kościół połowa".
>
> Cios, zadany rękami paru jasnogórskich zakonników, perły kleru naszego, zbyt był dotkliwym, ażeby nie opamiętał wielu. Odzywają się też powoli głosy, ażeby z duchowieństwa zdjąć tę nietykalność, pod którą rodzą się Macochowie i im podobni."

Przytoczony tu wiersz Potockiego ma dziś głębsze, symboliczne znaczenie...

* Obok wielu metod, zastosowanych przez czarne bractwa w celu odwrócenia uwagi publicznej od źródeł zbrodni macochowej, brakowało jeszcze metody *jezuickiej*. Tę lukę zapełnił Jezuita *ksiądz J. Pawelski*, który w *Przeglądzie Powszechnym* wystąpił z twierdzeniem, że zbrodnie Paulinów mają źródła w „nihiliźmie etycznym", a więc w twórczości Niemojewskiego i Żeromskiego...

Lwowski tygodnik postępowy *Życie* (Nr. 5) odpowiadając księdzu Pawelskiemu, jako *motto* przytacza fragment z *Beniowskiego:*

> „...kolego!
> Byłżeś w Arkadji tej, gdzie *Jezuici*
> Są barankami? — pasą się — i strzegą
> Psów — i tym żyją, co ząb ich uchwyci
> Na pięcie wieszcza?..."

poczem udziela następującej lekcji historji niefortunnemu Jezuicie:

> Tylko jeden z tych, którzy jak upiory ssali przez stulecia serdeczną krew z organizmu polskiego, którzy w wieku XVII zatruli ducha polskiego, sprowadzając rozkład nań moralny i umysłowy, tylko jeden z tych, którzy po pierwszym rozbiorze w Połocku wystosowywali hołdy wiernopoddańcze i najpokorniejsze podziękowanie za rozbiór carycy Katarzynie, tylko jezuita mógł w tak brutalny sposób targnąć się na dorobek odradzającej się Polski.
>
> Gdzież wasz jasnogórski Pochroń (daruj Pochroniu, że cię zestawiam z Macochem!) mógł szukać wzorów dla swoich zbrodni?
>
> Spojrzmyż, ojcze Pawelski, nieco w siebie, a nieco poza siebie.
>
> Oto mógł się ojciec Damazy kształcić na postaci opasłego rozpustnika biskupa Zawiszy z Kurozwęk, z w. XIV., który r. 1382 w Dobrowodzie nocą po drabinie za dziewczyną goniąc, kark skręcił.
>
> Mógł znaleźć wzory w atmosferze obyczajowej kleru z przełomu średniowiecza, kiedy to nabożna mieszczka krakowska powędrowawszy — według opowieści kronikarza — na odpust jubileuszowy do Rzymu, tam służyła ja-

ko naczynie duchowne świątobliwym kardynałom, a w następstwie pierwsza zawlokła do Polski syfilis, na który jeden z pierwszyah zmarł kardynał Fryderyk.

Mógł się zapatrzeć na biskupa krakowskiego z XVI w. Andrzeja Zebrzydowskiego, który wizytując djecezję, woził stale za sobą kilka pojazdów nierządnic, a który celebrując wywoływał odrazę u wiernych ciałem, gnijącym z rozpusty.

Mógł się napawać wesołą atmosferą kleru z w. XVI, który sobie ulegalizował najwybredniejsze wybryki rozpustne i nawet osobne statuty dla stowarzyszenia rozwiązłych ułożył (Pstrokoński).

I tak dalej poprzez wieki aż po dzień dzisiejszy cytować możnaby nieskończoną litanję wzorów moralnego życia i czystości dla jasnogórskich Paulinów, wzorów czerpanych z życia świeczników kleru polskiego. Tam patrz, ojcze Pawelski, za źródłami charakteru i postępków ojców Macochów!

A jeśliś ciekaw, ojcze Pawelski, gdzie zrodziła się krwiożerczość mnicha, w jakiej atmosferze nauczył on się lekceważyć życie bliźniego, to przejdź myślą dzieje tych twoich praojców klasztornych, którzy w Polsce szerzyli nieznaną przedtym zajadłość, nietolerancję, ośmielającą do mordowania bliźnich innej wiary i odmiennych przekonań. Zwróć oczy na gwiazdę jezuityzmu polskiego, ojca Piotra Skargę, który podburzał motłoch ciemny i żaki krakowskie do burzenia świątyń innej wiary, pochwalał wywlekanie trupów z grobu, rozbijanie sklepów jubilerskich i wzywał na heretyków „ogieńka". Szukaj śladów miłości i poszanowania życia bliźniego u inkwizytorów polskich wieku XIII, którzy wierzącemu katolikowi na podstawie interesownej denuncjacji kazali wyrywać język, odcinać ręce, przypiekać ciało kleszczami rozpalonymi, wreszcie w płomieniach na stosie ułatwiać kadłubowi wstęp do życia pozagrobowego...

Chciwość Macocha miała przodka w biskupie Massalskim, płatnym zauszniku Rosji, który w straszny sposób okradł Komisję Edukacyjną, w biskupie Podoskim, jawnym ajencie Repnina, w prymasie Michale Poniatowskim, którego tylko szybkie zażycie trucizny uratowało od zasłużonej szubienicy, w biskupach Ostrowskim, Kossakowskim, Młodziejowskim, którzy pobierali regularne pensje od rządu rosyjskiego itd. itd.

Może ta skromna wiązanka historyczna faktów wystarczy na razie dla zwrócenia uwagi księdza jezuity Pawelskiego, gdzie ma się doszukiwać protoplastów macochowej krwiożerczości, chciwości, rozwiązłości...

* Potworne wieści, które nam od kilku tygodni przynosi śledztwo z Częstochowy, skłaniają do daleko idących wniosków, uogólnień i wskazówek w zakresie walki, jaką prowadzi od dziesiątków lat garść umysłów niezależnych ze stugłowym smokiem klerykalizmu. Ostatni zeszyt *Myśli Niepodległej* w artykule d-ra W. Miklaszewskiego przynosi szereg uwag cennych i postulatów, jakimi kierować się należy wobec tak nieoczekiwanego wyłomu w murach ciemnej twierdzy klerykalizmu. „Nie poddawajmy się obłudzie, — czytamy tam, — jaką starają się nam narzucić wstecznicy. Bądźmy szczerzy, prawdomówni, jak przystało na wolnych wyślicieli.

Powiedzmy szczerze wobec siebie i całego społeczeństwa: stało się dobrze, że została zdemaskowana organizacja łotrzyków, zbirów, zbójów, którzy opletli cały nasz kraj siecią agentur rzymsko-katolickich gwoli podniesienia wpływów, przywilejów, korzyści materjalnych i dogodności życiowych stanu księżowskiego i to kosztem utrzymania ciemnoty, zabobonów, przesądów ludu i całego narodu, kosztem walki bratobójczej ze wszystkim, co się zwie myślą, prawością.

Z tej jaskini ciemnoty, zbrodni i ogłupiania nie powinien pozostać kamień na kamieniu. Tak zwany obraz cudowny, (będący podobno gołą deską, pomalowaną przed dziesięciu laty przez J. Chełmońskiego i przybraną w sukienki i klejnoty, zastąpione prawdopodobnie przez falsyfikaty), niech spocznie spokojnie w jakim muzeum narodowym, zwolniony od obowiązku przywracania wzroku oziemniałym i władzy sparaliżowanym. Gmach poklasztorny niech będzie obrócony na rzecz użyteczności publicznej (byle nie na jaki nowy zakon!), fundusze i majątki niech będą użyte na oświatę ludową. Te trzy miljony, które mają podobno przepływać rocznie przez księże szkatuły na Jasnej Górze, zostaną w kieszeniach ludu, który oszczędzi w dodatku wiele dni roboczych i kosztów, zmarnowanych na pielgrzymki. Będzie to korzyść materjalna narodu. A druga — moralna, stokroć większa korzyść, to uświadomienie mas ciemnych, że każda plebanja jest minjaturą Częstochowy, że więc parafjanie mają obowiązek żądać od swych parochów sumiennego wywiązywania się z obowiązków stanu duchownego.

Idąc do szturmu na wyłomy szańców klerykalizmu, będziemy ożywieni tą samą ideą, o którą walczyliśmy dotychczas: jeżeli ludowi potrzebny jest jeszcze ksiądz, to niech nim będzie roznmny, uczciwy i oddany obywatel kraju, a nie pierwszy lepszy nicpoń i próżniak, wyrzekający się po Puzynowsku ojczyzny, rodziny, wszelkich uczuć obywatelskich i ludzkich gwoli użycia rozkoszy ziemskich na stanowisku agenta papieskiego, kosztem ciemnoty, wyzysku i upodlenia własnych współbraci.

* Gdy ktoś wytknie księdzu katolickiemu jakiekolwiek uchybienie lub nadużycie, ogół kleru podaje to za walkę z Kościołem, a ułomność jednostki osłania majestatem Boga. Podobną taktykę obrony przyswoili sobie współpracownicy *Młota*. Gdy jednego z kolegów ich, przyłapano na złodziejstwie, redakcja *Młota* krzyknęła „to nieprawda! Ten pan nigdy, po pierwsze, nic nie kradł; powtóre, jeżeli nawet coś ukradł, to było już bardzo dawno, może dwa, może trzy lata temu: po trzecie, ktokolwiek podejmuje przeciwko jednemu z nas tego rodzaju oskarżenie, ten godzi w cały miljonowy lud roboczy, po fabrykach pracujący!" Wszelako analogja między ortodoksją rzymską, a ortodoksją berlińską na tym się nie kończy. Ksiądz, stawiony pod zarzutem ciężkiej winy, miast żądać sądu, odwołuje się do nieskazitelnej powagi Chrystusowego namiestnika, pragnąc przepychem jego białej szaty pokryć brud własnych przestępków. Podobnie redakcja *Młota*, miast rozstrzygnąć sprawę na miejscu, pod kontrolą opinji publicznej, przenosi jej akta pod obce nieba, stawiąc przed trybunał rozmaitych „namiestników" Marksa, nie orjentujących się w materjale rzeczowym sprawy. Analogja jednak posuwa się jeszcze dalej. Oto owi „nieomylni namiestnicy", nie mający ani narodu naszego, ani warunków jego istnienia, systematycznie, w jakimś piekielnie zgodnym zaślepieniu, przy każdej okoliczności ubliżają ojczyźnie naszej posądzaniem jej o barbarzyńskie zamachy przeciwko żydom. Pamiętamy haniebną odezwę Piusa X, insynująco narodowi polskiemu zbrodnię programów żydowskich. Obecnie, ujęty w pułapkę, Jaurès, okłamany przez Młotowców, imieniem Marksa, częstuje nas tą samą dawką niesławy, ubraną w łagodniejszą postać-przestrogi. Krwawy sarkazm tych posądzeń i przestróg tkwi w niepokonanym przeświadczeniu samych mas żydowskich, że w granicach państwa Rosyjskiego Polska jest jedynym krajem, dającym im ucieczkę i bezpieczeństwo. Stwierdzając wszakże niewłaściwość „wypowiedzenia się" Jaurès'a pod adresem społeczeństwa polskiego, nie możemy pominąć całego obszaru różnic, jakie zachodzą we względzie inteligencji, etyki i uspołecznienia, między socjalistą francuskim a gronem opętańców, karmiących robotnika polskiego pianą epileptycznej wściekłości. Jaurès, umysł oparty o szeroką kulturę filozoficzną, światły, wolny od grubego fanatyzmu, zaufany w zbawiennych skutkach krytycyzmu, umysł przedewszystkim organizacyjny, twórczy i pozytywny, działając w środowisku warszawskim, zapewne piewszy uległby ostracyzmowi *Młotowców*, których paniką poprostu napawa wszelka umysłowa i kulturalna wyższość. Po dowody nie potrzebujemy sięgać daleko. *Nowe Tory*, organ Polskiego Związku Nauczycielskiego, w dwu ostatnich zeszytach zamieszcza w przekładzie dosłownym tekst mowy Jaurès'a, wygłoszonej we francuskiej Izbie Deputowanych 10-go i 21-go stycznia r. b. Mowa ta jest mistrzowskim uzasadnieniem świeckiego systemu szkolnictwa, wolności przekonań i sa-

morzutności indywidualnej. W całości swej stanowi potężny bojowy argument przeciwko zakusom rutyny, ciasnocie umysłowej, przeciwko dogmatyzmowi i zakrzepłości, w pewnych zaś ustępach brzmi jak porywający hejnał postępu i wolnej myśli. Szczupłość miejsca zniewala nas do ograniczania się tylko wyjątkami.

Wychowawca — mówi Jaurès, broniąc jaknajszerzej pojętych praw indywidualizmu — któryby usiłował wedle własnej doktryny urabiać umysł dziecka, brałby ten umysł tylko w niewolę. I w dniu, gdy socjaliści będą mogli zakładać szkoły, postawiłbym nauczycielowi za obowiązek, aby wobec dzieci nie używał nawet wyrazu socjalizm.

Jeśli jest on socjalistą i to socjalistą prawdziwie szczerym, to tylko swoboda rozumowania i stosowanie jej do prawd stwierdzonych, szerzej pojmowanych, doprowadziła go do tych przekonań. Jedyna droga, jaką wieść może dzieci, lub młodzież, to wszczepianie w nich tej samej niezależności myśli i tych samych pojęć szerokich.

Tak samo rzecz się ma z wielkim narodem. Nie może on wszczepiać w umysły przejściowych formułek tego, lub owego prądu, tego, lub owego porządku rzeczy. Ale pozostanie prawdą fakt, że, nauczając, wychowawca przelewa w umysły tych, którzy go słuchają nie przelotne formy zmieniających się pojęć, ale istotne podstawy, na których opiera swój własny światopogląd i poczucie własnej niezależności.

Podkreślając dalej świecki charakter nauki, etyki, państwowości i cywilizacji współczesnej, na podstawach demokratyzmu opartej, zwraca się Jaurès bezpośrednio przeciwko krańcowym uogólnieniem „prawowiernego" socjalizmu.

My, socjaliści, mówimy niekiedy z lekceważeniem o demokracji, jako o pojęciu banalnym, pustym. Ale jeśli, otrząsnąwszy się z hałasu polemik, zgłębić rzecz samą w sobie, to niepodobna zlekceważyć jej najistotniejszej zasady, głoszącej, że w dzisiejszym porządku politycznym i społecznym niema ekskomunikowanych, niema wyjętych z pod praw, niema odosobnionych, że każda jednostka ludzka jest w posiadaniu pełni praw swoich.

I zasada ta nie jest li tylko platoniczną formułą. Uznać prawa jednostki ludzkiej, znaczy umożliwić jej ich wykonywanie przez szerzenie światła, zapładnianie myśli, przez gromadzenie rękojmi realnych, któreby pozwoliły obywatelowi wolnemu w myśl zasady, być niezależnym w istocie.

I dzięki temu wysokiemu napięciu myśli niepodległej, dzięki domaganiom się obudzonych przez nią tłumów, które natchnęła świadomością prawa do nadziei, — demokracja polityczna dąży do przeistoczenia się w demokrację społeczną, a horyzonty stają się coraz szersze i coraz potężniejsze zataczają kręgi nad rwącym się naprzód umysłem człowieka.

W końcu uderza Jaurès na separatyzm klerykałów:

Mamyż iść dalej — pyta on — za przykładem jednego z mówców katolickich i powiedzieć, że w tym kraju, wszelkie nauczanie wspólne jest niemożliwym, istnieć będą z jednej strony szkoły państwowe, świeckie, a z drugiej szkoły prywatne, szkoły katolickie, w których będą wykładane bez żadnej kontroli, bez żadnej przeciwwagi dogmaty najbardziej przeczące zasadom samego społeczeństwa i że pokolenia francuskie będą bez końca rozbijane nietylko na dwie szkoły, ale i na dwa obozy?

Istotnie, podziwiać możemy, z jak lekkim sumieniem mówcy katoliccy przyjmują taki rozłam stanowczy. A byłaby to rzecz najstraszniejsza, jakaby mogła spotkać społeczeństwo.

Walki klas nawet, jakkolwiek wielkim byłoby ich napięcie, odbywają się na wspólnym gruncie. Klasa burżuazyjna i klasa robotnicza są córami tego samego świata spółczesnego, tego samego systemu wytwórczości. Obie zarówno odczuwają potrzebę rozwoju nauki, która przez wolność ducha potęguje siły wytwórcze człowieka. Nawet walcząc, uznają one wspólność potrzeb i wspólność pracy duchowej.

Przeciwnie — jeżeli zgodzimy się, że między synami jednego kraju jednego pokolenia, jednego wieku, jednej klasy antagonizm doktryny, myśli i sumienia ma iść tak daleko, że niepodobna nigdy zgromadzić te dzieci jednej ziemi we wspólnej szkole, to wówczas stajemy wobec zupełnego rozbicia narodu.

Tak przemawia, tak argumentuje socjalizm oparty na europejskiej wiedzy i kulturze. Rzecz prosta, iż socjalizm ów w poczuciu godności swej nie przyznałby się do uczestnictwa *Młotowców* w obozie swym nawet w charakterze ciurów, gdyby ich znał choć cokolwiek.

KRONIKA.

JUBILEUSZ PROF. DICKSTEINA. W d. 30 października obchodzono 25-letni jubileusz owocnej i zasłużonej pracy profesora Dicksteina. Jubilatowi doręczono od zarządu gminy żydowskiej adres, podnoszący liczne dzieła i zasługi profesora na różnych polach pracy dla całego polskiego społeczeństwa, któremu jubilat służył głową światłą i sercem kochającym. W uroczystym dniu pamiątki jubileuszowej godzi się przypomnieć główne pozycje w dziejach dorobku kulturalnego prof. Dicksteina.

Urodzony w Warszawie, ukończył wydział matematyczno-fizyczny Szkoły Głównej i poświęcił się pracy naukowej. Dzieła jubilata zyskały sobie rozgłos, sięgający daleko poza granice kraju. Uczciły też i oceniły zasługi uczonego liczne towarzystwa i korporacje naukowe, powołując go do grona swych członków i współpracowników. Między innymi prof. Dickstein jest członkiem Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu, Akademji umiejętności w Krakowie, warszawskiego Tow. naukowego (przez czas pewien był wiceprezesem jego) Tow. naukowego w Pradze czeskiej, kółek i stowarzyszeń matematycznych w wielu miejscowościach i t. d.

Niezwykle obfity i cenny jest dorobek naukowy szanownego jubilata. Wespół z p. Wawrykiewiczem prof. Dickstein opracował „Bibljografję matematyczną polską XIX-go stulecia", był współredaktorem i założycielem kwartalnika *Prace matematyczno-fizyczne* i miesięcznika *Wiadomości matematyczno-fizyczne* jest członkiem komitetu redakcyjnego *Wielkiej encyklopedji powszechnej.*

Pomimo tak olbrzymiej pracy, już wykonanej, szanowny jubilat jest w pełni zapału do pracy, energji i sił. Oby mu ich starczyło jak najdłużej.

Książki nadesłane do Redakcji:

Rena. Wieczór już był, a jutro bzy zakwitną... 8-ka podł., str. 85. Warszawa, 1911. Skł. gł. w księg. Sadowskiego. kop. 75.

Sinclair Upton. Giełdziarze. Powieść na tle stosunków giełdziarsko-amerykańskich. 8-ka, str. 350. Lwów, 1911 Nakł. księg. H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. rb. 1,20.

Wierzbicki Józef Stanisław. Atlantyda. 8-ka, str. 87+2 nlb. Lwów, 1910. Nakł. Tow. wydawn. Warszawa, E. Wende i Sp. kop. 75.

Zalewski Władysław. Ku gwiazdom. Poezji serja III. Napisał.. 8-ka, str. 138. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff. rb. 1,20.

Zapolska Gabrjela. Śmierć Felicjana Dulskiego. Opowiadanie 8 ka, str. 157. Warszawa, 1911. Nakł. Gebetnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp. kop. 80.

Zieliński Gustaw. Manuela. Opowiadanie starego weterana z kampanji Napoleońskiej w Hiszpanji, z ilustracjami. 8-ka, str. 190. Warszawa, 1911. Nakład Gebethn. i Wolffa. kop. 60.

Zieliński Walenty. Królewskim szlakiem. Napisał... 8-ka, str. 130. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff. rb. 1,10.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem): **W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu. **Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50** rocznie **rb. 10.**

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.